

Stowarzyszenie Absolwentów
Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu

Biuletyn Absolwenta *nr 35*



Luty 2006

Spis treści(oczywiście zmienię)

Pora na Igrzyska	3
Refleksje o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości	4
Życiowa i zawodowa droga Jana Bąkowskiego-wywiad	9
Wuefiacy książki piszą	15
Księga wspomnień po recenzji	25
20 rocznica śmierci prof. Wandokantego	27
Sylwetki	
Lekkoatletyka moja miłość - „Dżony”	27
Ku pamięci Janka Śliwki	31
Zbigniew Suprun belfrem roku 2005	35
Z życia Uczelni	
Oplatkowe spotkanie J.M. Rektora z seniorami	36
Who is who - patroni „naszych ulic” Ignacy Jan Paderewski	38
Przedruki z Życia Akademickiego	38
Z życia Organizacji	
Odliczamy czas do Zjazdu	39
Karta zgłoszeń na Zjazd	41
Program Zjazdu	42
Honorowy Sponsoring	43
Spotkanie oplatkowe	44
Wieczór kolęd	45
Apel o składki	46
Wspomnień czar	
Opowieść Kresowiaka (St. Paszkowski)	47
Zwierzzenia absolwenta	52
Sport	
Przedruki z Życia Akademickiego	54
Fraszki	
„Poczynania nowej władzy” (Stanisław Paszkowski)	56

Dyżury w sekretariacie Stowarzyszenia
ul. Paderewskiego 35 (Stadion Olimpijski)
wtorki, godz. od 12.00 do 14.00

Biuletyn Absolwenta (35)

Kolegium redakcyjne:

Antoni Kaczyński, Tadeusz Bober,
Ryszard Jezierski, Krzysztof Słonina

Adres:

Stowarzyszenie Absolwentów
Akademia Wychowania Fizycznego
ul. Paderewskiego 35
51-612 Wrocław
tel. (71) 347-32-19

Konto bankowe:

52 1020 5242 0000 2902 0114 0680

Ważne telefony (we Wrocławiu)

prezes: Ryszard Jezierski	071-345-26-43
v-prezes Halina Jezierska	071-349-42-00
v-prezes elekt: Władysław Kopyś	071-368-14-44
sekretarz: Marian Klimkowski	071-357-14-28
skarbnik: Leszek Buczyński	071-352-40-95
red. biuletynu: Antoni Kaczyński	071-328-54-48
red. techniczny: Krzysztof Słonina	602430014

Internet: www.awf.wroc.pl/absolwenci
e-mail: sloniu@awf.wroc.pl

Pora na igrzyska!

Mówi się, że będą to igrzyska rekordów. Występuje więcej zawodników i zawodniczek, będzie więcej konkurencji i więcej krajów biorących udział w Turynie niż w poprzednich w Salt Lake City. Określenie „olimpiady w Turynie” jest raczej umownym mianem - skrótem, ponieważ nie wszystkie konkurencje zostaną rozegrane w samym Turynie. Będą to konkurencje w dyscyplinach „lodowych”, w górach zobaczymy narciarzy, biathlonistów, saneczkarzy i bobsleistów. Zawody będą odbywały się w siedmiu różnych miejscach, nierzadko odległych o 150km od centrum igrzysk. Chociaż wybudowano trzy wioski olimpijskie nie wszystkie ekipy tam się pomieszczą. Polscy olimpijczycy na przykład mieszkają w Sestriere skąd bliżej jest do Pragelato gdzie odbędą się konkursy skoków, a bazą samych skoczków jest Pinerolo. Nasi mają swojego kucharza, aby codziennie nie musieli dojeżdżać do wioski olimpijskiej na posiłki. Polska ekipa liczy 48 zawodników – czy ktoś z Polaków nas mile zaskoczy? Oby życzenia stały się rzeczywistością. W ekipie jest grupa zawodników, którzy mogą walczyć o medale, lecz od szansy do sukcesu daleko. Nasz trzykrotny mistrz świata w skokach Adam Małysz to wielka niewiadoma. Jak mówi prof. Zatoń zajmujący się fizjologią wysiłku, człowiek nie jest maszyną, którą można eksploatować bez ograniczeń. Mimo, że możliwe jest wpływanie środkami treningowymi na rozwój formy, to utrafienie w jej szczyt na określonej porę jest bardzo trudne. W polskim sporcie jest jeszcze duża przypadkowość w określaniu środków i metod postępowania w przygotowaniu sportowców do mistrzostw.

Zobaczymy jak wypadnie Tomasz Sikora – nasz biathlonista. Trenerzy liczą na niego – z dnia na dzień rośnie ich optymizm ale czy tylko to? Duże nadzieje wiążemy z naszymi reprezentantami w snowboardzie. Paulina Ligocka startuje w snowboardowym halfpipie. Podczas niedawnych zawodów Pucharu Świata w Leysin odniosła zwycięstwo (jako pierwsza Polka w halfpipie!) W styczniowych zawodach w Nendaz zwyciężyła też Jagna Marczałajtis (snowboardowy slalom). Pokonała Szwajcarki, uchodzące za faworytki. Może zaliczy „pudło” na igrzyskach? Oby to było dobrą wróżbą.

Nasi biegacze Justyna Kowalczyk i Janusz Krąželok są również optymalnie przygotowani do startu. Oby nie dopadła ich jakaś grypa czy biegunka no i żeby dobrze posmarowali narty. Będziemy gorąco kibicowali naszemu zawodnikowi, chociaż znamy naszą polską rzeczywistość. Będziemy podziwiali piękne pary w łyżwiarstwie figurowym – dyscyplina ta cieszy się dużym powodzeniem na całym świecie, lecz my w tym sporcie poza parą - Dorota Zagórska i Mariusz Siudek nie liczymy się. Podobnie ma się rzecz z hokejem – wielką atrakcją igrzysk, ale w tej dyscyplinie nie ma nas

w Turynie. Zapierają dech narciarze alpejczycy, szczególnie zjazdowcy pędzący po stokach z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Polscy alpejczycy wystąpią co prawda na trasach Piemontu, ale tylko w kategorii „tło”. Skromnym naszym akcentem w uczestnictwie na igrzyskach w Turynie jest trener kadry narodowej saneczkarzy dr Rafał Wołek, pracownik Zakładu Sportów Zimowych AWF we Wrocławiu, który przygotował trójkę zawodników saneczkarzy lodowych na olimpiadę. Ewelinę Staszulonek w jedynkach oraz Krzysztofa Lipińskiego i Marcina Piekarskiego w dwójkach. Trzymamy kciuki za naszego śniegowego kolegę. Sądzę, że po powrocie opowie nam swoje wrażenia z pobytu na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich a my o tym napiszemy.

Krzysztof Słonina

Refleksje o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości

Aktualny numer Biuletynu w dużych fragmentach poświęcony jest naszym absolwentom, którzy w swoich opracowaniach utrwaliли dorobek wielu zasłużonych nauczycieli wf, instruktorów, trenerów i czołowych sportowców. Drukujemy kolejne osobiste wspomnienia absolwenta z 1959 r. – Stanisława Paszkowskiego, a także wspomnienia o tych, którzy na trwałe zapisali się nie tylko w dziejach Uczelni, ale i kraju - o Janie Bąkowskim, Janku Śliwce i Dominiku Sucheńskim. Prezentujemy także sylwetki dzisiejszych wyróżniających się nauczycieli wf, cichych bohaterów codziennego, mozolnego trudu na niwie krzewienia zdrowia i sprawności młodzieży oraz chronienia jej przed patologicznymi zachowaniami i środowiskiem.

Przeszłość jest na ogół nieco mitologizowana. Puszcza się w niepaamięć złe i przykre chwile i zdarzenia, zapamiętuje się sukcesy, powodzenia, radosne przeżycia między innymi na boisku, sali gimnastycznej, na basenie, na obozie czy wycieczce turystycznej. We wspomnieniach nakładają się na siebie osobiste sukcesy sportowe i osiągnięcia wychowanków. Oczywiście jest, że droga życiowa każdej jednostki nie jest usłana tylko różami, a i piękne róże mają też kolce. Jednakże ze wspomnień przebija optymizm i zadowolenie, że coś się osiągnęło, czegoś dokonano, mimo trudnych warunków materialnych, niesprzyjającej koniunktury, czy trudnych do przeskoków układów personalnych.

Na szczęście, człowiek jak powiada czołowy polski psycholog Józef Koziński, posiada predyspozycje do *transgresji*, to znaczy chce i potrafi przełamywać napotymane bariery i przeszkody. Wdzierać się, jak morze w ląd (stąd określenie transgresji) na obszary trudne do zdobycia, stawiające opór.

Kiedy się czyta, co przedstawiają koledzy w omawianych książkach wyraźnie widać jak ci pasjonaci od zera kładli podwaliny pod rozwój wf i sportu szkolnego (i nie tylko) w swoich regionach, wznosili obiekty sportowe, organizowali imprezy rekreacyjne, sportowe i turystyczne, które na ogół weszły na trwałe w kalendarze imprez regionalnych czy ogólnokrajowych. Koronnym tego przykładem jest działalność Juliana Gozdowskiego (absolwent z 1959 r.) twórcy „Biegu Gwarków” i „Biegu Piastów”, dzisiaj imprez – „instytucji” o zasięgu europejskim. Tacy ludzie posiadają wymienianą przez prof. Kozińskiego zdolność transgresyjną i potrafią zagospodarowywać „ugory” na polu wychowania fizycznego, sportu i turystyki. W jednym z wcześniejszych numerów Biuletynu prezentowaliśmy „orkę na ugorze” Kazimierza Sojki, który w 1955 r. po skończeniu studiów ruszył w Bieszczady, gdzie niemal od zera tworzył zręby sportu szkolnego, a szczególnie sportów zimowych. Z jego dorobku korzystają dzisiejsze pokolenia, często nie zdając sobie sprawy komu to zawdzięczają. Nie oto chodzi, aby ciągle przypominać kto i co zrobił, ale nie można też popadać w zachwyt, że to tylko dzięki operatywności i zapobiegliwości współczesnych przybywa sal, boisk, basenów czy wyciągów narciarskich.

Znany redaktor Tygodnika Powszechnego i Gazety Wyborczej – Jan Turnau – „Jonasz” pisząc o książce swojego szkolnego kolegi Zbigniewa Lipińskiego „50 lat MKS >Karkonosze<”, użył dowcipnego określenia „**ciałpasterstwo**” jako antonimu „**dusz-pasterstwo**”. (GW nr 6, 7-8. 01. 2006 r.). Turnau o takich ludziach jak Lipiński pisze iż są to „ciał-pasterze, czyli opiekunowie, wychowawcy i krzewiciele zdrowia fizycznego, w myśl maksymy >w zdrowym ciele, zdrowy duch< „. My, pedagodzy doskonale wiemy, że sztuczny kartezjański podział na ciało i ducha jest czczym zabiegiem formalnym, który krytycznie oceniał nasz wysportowany Wielki Rodak Jan Paweł II. Jeśli idzie o sens i ideę wychowania fizycznego, to już dawno jej jasną wykładnię przedstawił Maciej Demel pisząc, że „*wychowanie fizyczne jest zjawiskiem społecznym i odnosi się do osobowości... Wszystkie te zabiegi (fizyczne, ruchowe – RJ) wchodzi w zakres wychowania wtedy i tylko wtedy, gdy przepuści się je przez filtr osobowości wychowanka, gdy ten je zrozumie i aktywnie się do nich włączy.*” (M. Demel, Pedagogika zdrowia, s.107)

W tym ujęciu wychowawca fizyczny jest zarówno „**ciałpasterzem**”, jak i „**duszpasterzem**”, dbającym zarówno o zdrowie fizyczne, jak i psychiczne, a przede wszystkim wyciągającym z troski o zdrowie, sprawność fizyczną i zdrowy styl życia młodzieży.

Teraźniejszość, to również korzystanie z dorobku poprzedników, pomnażanie tego co osiągnęły poprzednie pokolenia i idąc z duchem czasów nadawanie współczesnego kształtu i nowego impulsu podejmowanym działaniom.

Swoistą skazą większości absolwentów jest przekonanie, że dawniej to byli prawdziwi, zaangażowani wychowawcy fizyczni, nie to co dzisiaj. Zapewniam, że są tacy i dzisiaj! Przykładem mogą być wuefiacy mianowani do tytułu „Belfra roku”, o czym piszemy na dalszych stronach Biuletynu. Prezentujemy tylko tych, o których wiemy z naszego wrocławskiego podwórka, a podobnych im jest wielu. Mamy nadzieję, że tą prezentacją zdołamy przyciągnąć czytelników Biuletynu do przedstawiania wyróżniających się koleżanek i kolegów z innych regionów kraju. Oprócz mianowanych do tegorocznego konkursu „belfra roku” można wymienić wielu innych wybitnych absolwentów AWF Wrocław, choćby tylko dyrektora II LO Jerzego **Łysiaka**, dyr. SP nr 50 Andrzeja **Dźwigalę**, dyr. szkoły sportowej Helenę **Chomiak-Migasiewicz**, czy inspiratorów i organizatorów cenionych konferencji miedzyuczelnianych Forum Nauczycieli Szkół Licealnych – Ewę **Głogowską-Nowak** z VII LO i Andrzeja **Wickiego** z XV LO, którzy jesienią organizować będą we współpracy z AWF (w ramach 60-lecia) V Forum.

Szef wrocławskiego i dolnośląskiego SZS, nasz absolwent Adam **Szymczak** rozkręcił nabierającą coraz większego rozmachu (wzorcową dla innych miast) akcję „**trenera osiedlowego**”. Angażowani za skromne wynagrodzenia instruktorzy (na ogół świeżo upieczeni absolwenci AWF) zagospodarowują na osiedlach dzieciom i młodzieży czas wolny, przedstawiając alternatywę – zajęcia sportowo-rekreacyjne zamiast bezmyślnego pętańia się po osiedlu, palenia, picia i ćpania. Setki dzieciaków zamiast broić i wywoływać burdy (no bo coś trzeba robić!) gra w piłkę, ćwiczy dżudo, akrobatykę, uczestniczy w rozgrywkach i turniejach. Głównie z taką młodzieżą z rejonu „drugiego trójkąta bermudzkiego” (pierwszy to okolice ul. Traugutta), z okolic Dworca Nadodrza i ul. Kłęczkowskiej (gdzie się mieści sławetne więzienie) pracuje wyróżniony przez SZS kolega **Suprun**. Dzięki takim wychowawcom chroni się przed deprawacją dziesiątki (a może i setki) dziewcząt i chłopców.

Przyszłość buduje się na dorobku przeszłości, osiągnięć teraźniejszości i trafnej wizji zmieniającej się rzeczywistości. Oczywiście jest, że istotne znaczenie w tym procesie ma kształcenie i wychowanie młodego pokolenia. Przodujące kraje mocno stawiają na edukację i naukę, co niestety u nas niby jest w pełni zrozumiałe, ale kolejnym rządzącym ekipom jakoś brak zdecydowania, aby postawić na tego „konia”. Wprawdzie zwielokrotniła się liczba studentów, jednakże poszło to w niezbyt zdrową komercję i nie widać, aby ilość przeradzała się w jakość. Jak na większości innych, tak i na naszej uczelni trochę borykamy się z mnogością studentów, bo krępują nas przepisy warunkujące byt między innymi od ilości słuchaczy.

Od pół wieku pracuję ze studentami i nie podzielam zdania, że z młodzieżą jest coraz gorzej. Jest raczej inaczej. Przede wszystkim bardzo

dynamicznie zmienia się codzienna rzeczywistość, warunki bytu i studiowania. Coraz to nowe systemy kształcenia, zasady kredytowania narastających opłat i coraz więcej rodzimej i europejskiej biurokracji.

Jedno jest pewne; nadal najsukuteczniejszym sposobem, systemem, metodą wychowawczą jest osobisty przykład i szczerść w stosunku do wychowanków. Niestety coraz więcej jest wiary w wychowawczą wartość słowa gadanego i pisanego. Przy tym brak jest jasno określonej linii postępowania. Wraz ze zmianą ekip rządowych zmieniają się idee i zasady postępowania. Aż skóra cierpnie, gdy słyszę o zamiarze powołania przez MEN **Instytutu do spraw wychowania**, który jak powiada minister, będzie miał pilnować wdrażania i przestrzegania wartości chrześcijańskich. Właśnie w tych dniach odbyła się na ten temat burzliwa dyskusja w radiowej trójce a także w telewizji. Z wyjaśnień przedstawiciela MEN wynika, że chodzi o przestrzeganie odwiecznych zasad – przykazań dekalogu, który jak z Biblii wynika objawiono Mojżeszowi na Górze Synaj, stąd są to wartości jeszcze przedchrześcijańskie.

Nawiązując do wychowania w duchu określonych wartości, chciałbym na koniec posłużyć się bardzo życiowym przykładem. Gdy piszę te słowa w jednym z dzienników telewizyjnych – TVN przedstawiono problem nasilających się w krajowych zimowych ośrodkach narciarskich kradzieży nart i innego sprzętu sportowego. Dziennikarz ze zgrozą podaje, że skradziono nawet narty ratownikowi TOPR i to w chwili gdy udzielał pomocy poszkodowanemu narciarzowi. Jedni „prawdziwi Polacy” kradną, inni „prawdziwi Polacy” kradziony sprzęt kupują i interes się kręci.

Od paru sezonów bywam na nartach w Alpach, gdzie każdy może bezpiecznie zostawić narty i wszelki inny sprzęt, gdzie zechce. Są takie stacje narciarskie, gdzie narciarze zostawiają po jeździe sprzęt na stojakach – bez klódek, łańcuchów, groźnego psa. Przychodzą na drugi dzień zakładają narty i jeżdżą. Jeszcze jeden charakterystyczny przykład. Czekaliśmy z żoną ponad godzinę w barze jednej ze stacji kolejki linowej w Dachstein West, na jeżdżących „do spodu” przyjaciół. Przyglądaliśmy się samoobsłudze gości, najczęściej młodych ludzi. Szafa chłodnicza stała w kącie, prawie niewidoczna dla barmana. Obok były stojaki ze słodyczami i drobnym sprzętem narciarskim. Każdy, kto coś wybrał, podchodził do bufetu i rzetelnie za wszystko płacił. Nikt nikogo nie pilnował i jestem pewien, że kasa się zgadzała. Jeden z barmanów pomagał obsługiwać wypożyczalnię nart i właśnie jego zapytałem kto i kiedy obsługuje znajdujący się na zewnątrz (w takiej „góralskiej chatce”) sklepik ze sprzętem sportowym? Odpowiedział mi, że jak chcemy coś wybrać czy przymierzyć to możemy tam wejść, a jak będziemy gotowi coś kupić, to przy drzwiach jest przycisk dzwonnka i on się natychmiast zjawi. Tak się też stało.

Czy potrzebny jest tu jakiś komentarz jeśli idzie o wychowanie do którejś wartości, w tym wypadku w odniesieniu do przykazania „nie kradnij”? Gdy będziemy od dziecka i na każdym kroku wszyscy – od rodziców po ministrów - uczciwie postępować i wpajać to naszym dzieciom, będą zbyteczne jakiekolwiek instytucje wychowawcze.

Truizmem jest, że w sferze wychowania bardzo dużo można zdziałać poprzez wychowanie fizyczne, sport i turystykę. Będąc starym pedagogiem jestem optymistą i liczę na to, że moje wnuki doczekają Polski, w której nie tylko będą głoszone hasła o uczciwości i sprawiedliwości, ale w praktyce dnia codziennego będzie tak jak jest w Austrii, Szwajcarii, czy choćby i w Czechach.

Jako swoiste podsumowanie, w miejsce własnego tekstu, przytaczam fragmenty przesłanego mi listu naszej studentki Pauliny, która ponad rok temu wzięła urlop dziekański i wyjechała do USA z zamiarem doskonalenia swoich kwalifikacji instruktorskich z aerobiku.

Drogi Panie doktorze.

Przepraszam za tak długi brak wieści ode mnie, ale tyle się dzieje w moim życiu, wszystko tak szybko zmienia się, że często brakuje mi czasu na złapanie oddechu, na spojrzenie za siebie. Ostatnio staram się jednak to zmienić i znaleźć chwilę na refleksję.

Pragnę wszystko po kolei opisać, jednakże to, co dzisiaj jest aktualne, za 2-3 tygodnie może być już tylko kolejnym wspomnieniem, kolejnym przeżyciem. Jednakże, między innymi dzięki temu, że mam za sobą 3 lata studiów na AWF-ie, umiem się dostosowywać do zmieniających się warunków i wymogów życia.

Jak na razie nie wracam do Polski, mimo, że miałam w kraju pracę i powinnam skończyć studia. Może jeszcze skończę, bo formalnie nadal jestem słuchaczką. W Ameryce jest o wiele łatwiej. Jest więcej możliwości i perspektyw. Nie trzeba mieć znajomości, żeby cokolwiek załatwić i nie trzeba na starcie mieć bogatych rodziców. Wystarczy chcieć, spróbować, mieć pomysł na życie i zaufać losowi. Kocham Polskę, Wrocław, ale ..za-kochałam się w Ameryce. Można kochać jednocześnie dwa kraje – prawda? Ameryka daje poczucie wolności, nie zmusza do niczego, wręcz przeciwnie pozwala być czynnym uczestnikiem życia społecznego i nie jest to przywilej tylko wybrańców.

I chociaż brakuje mi Wrocławia, uczelni i Mamy, to nie zamieniłabym tego, co osiągnęłam tylko przez te półtora roku, z tym co mogłabym osiągnąć w kraju. Kilka miesięcy temu ukończyłam kurs dla „dental assistant” i od razu znalazłam pracę jako asystentka stomatologa. Zatrudnił mnie wykładowca, bo byłam najlepsza na kursie. Jak otrzymam „papiery”, to być może wrócę do aerobiku, ale na razie za nim nie tęsknię. Dosyć się naska-

kałam we Wrocławiu, a dla kondycji i zdrowia pływam i jeżdżę na nartach.

Jestem wdzięczna Panu i innym wykładowcom uczelni oraz moim trenerom pływania – Witoldowi Wasilewskiemu i Grzegorzowi Widance za przygotowanie do życia, a przede wszystkim za wiarę w młodych ludzi i za zachętę do pracy nad sobą.

Serdecznie pozdrawiam i jeszcze raz za wszystko dziękuję!

Paulina Kraśniewska

Oby jak najszybciej młodzi Polacy mogli tak pisać, a przede wszystkim czuć się i działać w swojej Ojczyźnie.

Ryszard Jezierski

Życiowa i zawodowa droga Jana Bąkowskiego

Z dr Janem Bąkowskim rozmawiał

Ryszard Jezierski w dniu 18. 11. 2005 r.

R.J. Do Wrocławia przybyłeś już w 1945 roku?

J.B. Przyjechałem, właściwie przyszedłem 12 maja 1945 roku, razem z prof. Tadeuszem Konopińskim, oddelegowanym do współtworzenia wydziału rolnego na Uniwersytecie i Politechnice Wrocławskiej.

Jechaliśmy pociągiem z Milicza do zerwanego mostu przed Oleśnicą, a do Oleśnicy i dalej do Wrocławia szliśmy piechotą. Droga między Oleśnicą i Wrocławiem to była jedna niekończąca się karawana szabrowników. Przed dworcem kolejowym w Oleśnicy panował ogromny ruch, mnóstwo wózków ręcznych, przeładowywanie wszelkiego dobytku, ruch i rwetes całą dobę.

Dlaczego skierowałeś się do Wrocławia?

Mój wuj prof. Konopiński studiował przed wojną we Wrocławiu, świetnie znał język niemiecki i jeszcze w czasie okupacji mówił, że po wojnie będzie można tu studiować i to w polskim Wrocławiu.

Nasza rodzina została przez Niemców wysiedlona z poznańskiego w okolice Kielc i to właśnie tam wuj pokazywał nam zdjęcia i plany Wrocławia, zachęcając do przeniesienia się kiedyś tutaj.

Po wojnie wuj dołączył do ekipy Drobnera mającej organizować życie miasta, w tym także działalność Uniwersytetu. Pierwszym naszym punktem zaczepienia było tymczasowe lokum w klinikach przy Chałubińskiego. Wkrótce prof. Konopiński otrzymał od władz Uniwersytetu propozycję zajęcia sobie domu na Biskupinie. Ja, jako nieformalny asystent profesora, taki chłopiec do wszystkiego, udałem się wraz z nim. Wuj zajął dosyć okazałą willę na rogu dzisiejszych ulic Chełmońskiego i Siemiradzkiego, a mnie zaproponował abym zajął pobliską małą willę obok, w której nawiasem

mówiąc przemieszkałem wiele lat.

Wuj przy okazji zajął na Biskupinie dosyć rozległe tereny, na których później a szczególnie ostatnio wybudowano szereg obiektów AR, łącznie ze wspianą halą sportową i będącą na ukończeniu krytą pływalnią. W tym dziele jest i mój niewielki wkład, gdyż pomagałem wujowi robić pomiary i wykonywać (dosyć nieudolne) szkice terenu. Wuj nie był zachwycony moimi „mapkami”, chociaż starałem się jak mogłem. Grunt, że „grunt” znalazł się w posiadaniu naszej bratniej uczelni Akademii Rolniczej, z której wywodził się prof. Wandokanty.

Byłeś już po maturze?

Tak, maturę zdawałem w Aleksandrowie Kujawskim, gdzie uczęszczałem do gimnazjum wraz internatem prowadzonym przez księży. Miele wspominać tę szkołę i panującą w niej atmosferę. To tam, niemal codziennie po rannej mszy z przyjemnością biegałem wokół parku, nie zdając sobie sprawy, że jest to początek mojej kariery sportowej i zawodowej.



*Jan Bąkowski (z bukietem) w otoczeniu wychowanków
Mariana Issela,*

Przyszedł czas, aby pomyśleć o dalszym losie, o studiach.

Owszem. Dalszy swój los wiązałem z rolnictwem. Ojciec przed wojną był zarządcą majątków ziemskich na terenach Poznańskiego (np. do szkoły powszechnej chodziłem w Lesznie, nawiasem mówiąc z jednym ze stryjów naszego absolwenta Bogdana Ostapowicza) i ja przyglądając się pracy ojca miałem jaką taką orientację na czym ta praca polega. W czasie okupacji przez jakiś czas nawet pracowałem jako zarządca majątków, początkowo koło Chęcina, później pod Włoszczową. Zatrudniał mnie brat, z wykształcenia inżynier rolnik.

Po wojnie wróciłem w rodzinne strony, gdzie zastałem spalony dom, pola zamienione na tymczasowe lotnisko polowe, jednym słowem nie było czego tam szukać. Pojechałem w okolice Jarocina do wuja Konopińskiego, prowadzącego w majątku Panienka specjalistyczną hodowlę bydła. Tam krótko pracowałem też jako zarządca majątku. Później wraz z wujem wyruszyłem do Wrocławia.

We Wrocławiu trzeba było z czegoś żyć, poszedłem więc do Zarządu Nieruchomości Ziemskich i otrzymałem skierowanie do pracy w majątku Nadolice Wielkie (w kierunku na Laskowice), gdzie pracowałem niecały rok. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy na studia. Idąc w ślady starszego brata, który ukończył studia jeszcze przed wojną, podjąłem studia na weterynarii. Po paru tygodniach zachorowałem na zapalenie płuc i przez jakiś czas nie uczęszczałem na zajęcia. Po powrocie do zdrowia zrezygnowałem z dalszych studiów na weterynarii i zdecydowałem się zdawać do Studium Wychowania Fizycznego przy Wydziale Lekarskim. O możliwości studiowania na tym kierunku dowiedziałem się będąc na weterynarii. Lubiłem sport, bo już w gimnazjum trenowałem lekkoatletykę. Z przyjemnością biegałem i z powodzeniem startowałem na zawodach i to nie tylko szkolnych, byłem nawet mistrzem powiatu.

Kiedyś do naszego gimnazjum w Aleksandrowie Kujawskim na powiatowe święto sportu przyjechał opromieniony sławą mistrza olimpijskiego Janusz Kusociński, który po wygranym przeze mnie biegu osobiście pogratulował mi i udzielił cennych wskazówek i rad jak mam trenować. Wkrótce jednak wybuchła wojna, która przerwała moją karierę zawodniczą.

Na egzaminie wstępnym do SWF w biegu na 1000 m wygrałem z przewagą około 100 m. Z miejsca zainteresowała się mną prowadząca zajęcia z lekkiej atletyki Genowefa Cejzikowa (olimpijka z Londynu) namawiając na treningi i starty w AZS-ie.

Twoją specjalnością były biegi na średnich dystansach?

Głównym dystansem było 800 m. Przez pewien czas byłem w czołówce krajowej, zajmowałem 3-cie miejsce. Wyróżniając się jako zawodnik AZS-u już na trzecim roku studiów zostałem młodszym asystentem, ale na asystenturze nie zagrzałem długo miejsca, głównie z uwagi na marną płacę. W tym czasie kilka sekcji AZS-u, w tym także lekkiej atletyki, borykających się z kłopotami finansowymi przeszło do „Gwardii”, która jako klub „mundurowy” gwarantowała przyzwoite płace i stypendia. Jako pracownikowi pionu „gwardyjskiego” zaproponowano mi pracę w ośrodku sportowym „Gwardii” w Jeleniej Górze, gdzie chętnie poszedłem z uwagi na proponowaną stawkę – 4 razy wyższą niż na uczelni. Z uwagi na to, że nie podpisałem zgody na pracę na milicyjnym etacie, tylko upierałem się aby zostać na etacie instruktorskim, nie zagrzałem tam długo miejsca. Wówczas obowiązywały

nakazy pracy i ja też miałem taki dwuletni nakaz. Zgodę na zwolnienie z tego nakazu mogłem uzyskać tylko w centrali w Warszawie. Tam, na moje szczęście spotkałem kolegę lekkoatletę, pracującego w dziale personalnym i on uzyskał mi zgodę na zwolnienie z tego nakazu, ale pod warunkiem, że w ciągu dwóch dni załatwię sobie etat we Wrocławiu. Po powrocie do Wrocławia udałem się do pani Launerowej, (jej synowa później długie lata pracowała u nas w dziekanacie) która zaproponowała mi pracę nauczyciela wf w Technikum Geodezyjnym na ul. Swobodnej. Po kilku miesiącach odstąpiłem miejsce koledze Adamowi Pileckiemu, który przepracował tam do emerytury. Sam skorzystałem z propozycji kolegi Jurka Baranka – kierownika Studium WF i Sportu Politechniki Wrocławskiej i podjąłem w Studium pracę, gdzie przepracowałem dwa lata.

Przypadek zdarzył, że na mojej ulicy Chełmońskiego mieszkał ówczesny dziekan naszej uczelni Iser Wegner, który podczas jednego ze spotkań zaproponował mi podjęcie pracy na uczelni w Zakładzie Lekkiej Atletyki. Nie bardzo chciałem się zgodzić z uwagi na niskie uposażenie, więc pan dziekan zaproponował mi etat adiunkta, na co przystałem. Tak wyglądał mój powrót na uczelnię w roku 1955.

Równocześnie prowadziłeś treningi w AZS-ie?

Po odejściu pani Cejzikowej z uczelni a także z AZS-su wszedłem na jej miejsce i prowadziłem treningi lekkoatletyczne wraz z Bogdanem Berezecim, później doszedł mój wychowanek Edek Listos.

Jeśli idzie o prowadzenie zespołów lekkoatletycznych, to miałeś ciekawe doświadczenia w pracy z głuchoniemymi.

Do tej pracy wciągnął mnie Bolek Setkowicz, który zaproponował mi i „Dżonemu” Sucheńskiemu wyjazd na obóz z grupą głuchoniemych lekkoatletów trenujących w „Starcie”. Było to zrzeczenie powołane przez spółdzielczość inwalidzką, ale z czasem zaczęło tworzyć sekcje sportowe nie tylko dla niepełnosprawnych. Na obozy najczęściej wyjeżdżaliśmy do Międzygórza, a także do Szklarskiej Poręby, czy do Wisły. Co roku odbywaliśmy 2-3 obozy.

Przed laty, na obozie w Sierakowie miałem okazję obserwować jak znakomicie komunikowałeś się z zawodnikami językiem migowym.

Bez przesady! To tylko pozory. Jakieś tam podstawy języka migowego z grubsza opanowałem, ale w rzeczywistości posługiwałem się swoistymi migami „sportowymi”, które oni „w mig” pojmowali. Miałem wielu zawodników, którzy świetnie czytali z ust i mówili tak poprawnie, że czasami mało kto orientował się z kim ma do czynienia. Świetny był Bolek Brzózka, czy Halinka Zawadzka, która ukończyła naszą uczelnię i podjęła pracę jako nauczycielka wf w normalnej szkole, gdzie znakomicie sobie radziła.

Po doktoracie zostałeś powołany na stanowisko docenta mianowa-

nego i przez dwie kadencje pełniłeś funkcję prodziekana ds studiów zaocznych. Jako dziekan nie miałeś wówczas problemów z tym działem, znakomicie prowadziłeś wszystkie sprawy. Szczególnie umiejętnie rozgrywałeś sprawy na linii Jelenia Góra – Wrocław, gdzie wcześniej było szereg problemów.

Nie było w tym mojej wielkiej zasługi, po prostu starałem się możliwie najlepiej wywiązywać z przyjętych na siebie obowiązków.

W sprawy studiów zaocznych wszedłeś dużo wcześniej, już w momencie organizowania punktów konsultacyjnych, jeszcze gdy studia zaoczne były skoncentrowane w warszawskiej uczelni.

Początkowo sprawy te rozkręcał Bogdan Czabański, Bolek Słupik i Adam Haleczko. Ja wszedłem na miejsce Bogdana Czabańskiego. Później jeździłem razem z Adamem do Opola, Oleśnicy, Legnicy czy Jeleniej Góry, podejmując próby tworzenia punktów konsultacyjnych. Ostatecznie została Jelenia Góra, w której w dużej mierze dzięki Eugeniuszowi Drozdowi rozwinął się i znakomicie działał przez około 20 lat punkt zamiejscowy AWF Wrocław.

Wszystko więc zaczęło się od Studium Doskonalenia Kadr z siedzibą na Stadionie Olimpijskim, które z początkiem lat 70-tych przekształciło się w trwały system studiów zaocznych.

Tak to się zaczęło. Ale wrómy jeszcze do Adama Haleczki.

Promotorem mojej pracy doktorskiej był świetny antropolog prof. Adam Wanke, który niestety zmarł jeszcze przed obroną mojej pracy. Był to dla mnie poważny cios, po którym nie mogłem się pozbierać i właściwie zrezygnowałem z finalizowania niemal gotowej już pracy. To dzięki Adamowi zmobilizowałem się i przystąpiłem do obrony, przy życzliwym wsparciu i dopingu ówczesnego rektora prof. Juliana Jonkisz. Adamowi bardzo dużo zawdzięczam, wiele mi pomógł, zresztą nie tylko mnie. Pomagał i wspierał wielu, niektórzy z nich są dzisiaj już profesorami. Zawsze służył z dużej życzliwości i solidności. Wszystko robił i nadal robi wręcz perfekcyjnie. Prace magisterskie pisane pod jego kierunkiem były dopracowane w szczegółach, czasami aż do przesady. Szkoda, że nie habilitował się i nie został profesorem, bo uczelnia miałaby z tego wielki pożytek.

W pełni się z Tobą zgadzam! Wracając do Twojej osoby, miło mi stwierdzić, że nasi absolwenci zawsze proszą o przekazanie Ci pozdrowień. Jesteś jednym z tych, którzy zapadli im głęboko w pamięć. Nie tak dawno przesympatyczny Kaziu Niemierka prosił mnie o aktualny Twój adres, bo chciał Cię wraz z paroma kolegami odwiedzić.

Niedawno byli u mnie, co sprawiło mi ogromną niespodziankę i radość. Dostaję też pozdrowienia i listy, ostatnio napisał do mnie Jacek Dolecki (absolwent z 1961 roku).

(W post scriptum zamieszczamy krótki tekst wspomnień Kazimierza Niemierki poświęcony dr Janowi Bąkowskiemu)

Jest to niezmiernie miłe, że pamiętają o swoim trenerze i wychowawcy. Masz też satysfakcję, że Twój najbliżsi – syn Wojtek i synowa Irena (Burzyńska) też są wuefiakami, synowa pełni funkcję wicedyrektora dużej placówki szkolnej przy ul. Poznańskiej.

Synowa wyjątkowo mi się udała, jest wspaniałą żoną, matką i troskliwą opiekunką schorowanego teścia i jak widać wspaniałym pedagogiem.

Synów miałem dwóch, ale młodszy Maciek niestety przed laty zginął tragicznie w wypadku samochodowym.

Zapowiadał się jako zdolny architekt.

Przed wszystkim był wspaniałym człowiekiem. Miał polot, dowcip i bardzo pogodny charakter.

Cały ojciec!

Drogi Janku! Bardzo Ci dziękuję za rozmowę i życzę dużo! dużo zdrowia! I wszystkiego najlepszego.

Post scriptum Kazimierza Niemierki

„Stajnia Bąkowskiego”

Studia w WSWF podjąłem z zamiłowania do sportu i już jako zaawansowany zawodnik „Górnika” Wałbrzych przeszedłem do AZS-u. Moim bezpośrednim trenerem został Jan Bąkowski, wspaniały człowiek, trener i pedagog co się zowie. Minęło przeszło 40 lat od ukończenia studiów, a On nadal jest dla mnie niedoścignionym wzorem. Chwała ci Uczelnio za takich Nauczycieli.

Byliśmy wspaniałą paczką „średniaków” i długodystansowców, studentów z WSWF i innych uczelni. Fachowość, osobista kultura, życzliwość, a jednocześnie stawianie nam przez pana Jana wysokich wymagań, powodowały, że szanowaliśmy Go ogromnie, ale i On też nas szanował. I tak pozostało po dziś dzień.

Zespół biegaczy AZS potocznie był zwany „stajnią Bąkowskiego”, bo wiem gdy zaczynały się popołudniowe treningi, biegaliśmy niczym rumaki z szatni budynku sportowego przy ul. Witelona do Parku Szczytnickiego i dalej nad kanał Odry, aby nabijać jak najwięcej kilometrów. Często towarzyszył nam niezmordowany, zawsze młody pan Jan. Treningi szybkie i specjalistyczne odbywały się na uczelnianym stadionie.

Do naszej paczki należeli: Jan Chojnacki, Marian Issel, Zbyszek Dziubiński, Edek Listos, Jurek Maciantowicz, Zdzychu Pietrasik, Piotrek Ceglarek, Paweł Kluczniok (WSR, dziś AR), Krzysiek Mazur (AM), Mariusz Solarski,

Kazik Stasielowicz, Jasiu Zieliński, Staszek Samiec, Bogdan Supel, Włodek Tomczyk i inni. Każdy z nas był ciekawą i oryginalną osobowością, o każdym krążyły anegdotki, powiedzonka i dowcipy. Na treningach dostawaliśmy od pana Jana solidny wycisk, ale nikt nie narzekał, atmosfera w zespole była wspaniała, wręcz radosna. Były to przecież najpiękniejsze lata naszej młodości.

Wspólnie spędzony czas na treningach, na obozach – najczęściej w Karkonoszach i nad morzem, umacniały naszą przyjaźń. Radowaliśmy się z własnych i kolegów sukcesów. W 1963 roku w Olsztynie na Stadionie Leśnym wywalczyliśmy dla naszego AZS-u awans do I ligi. Była to wielka radość zarówno w AZS-ie, jak i na Uczelni.

Dlaczego tak czule wspominam czasy treningów i startów we wrocławskim AZS-ie? Bo wtedy nawiązałem trwałe więzy przyjaźni z wieloma kolegami, a szczególnie ze Zbyszkim Dziubińskim, Marianem Isselem, Pawłem Kluczniokiem, Krzyskiem Mazurem. Ta przyjaźń trwa po dziś dzień. Znają się też i przyjaźnią nasze żony i dzieci. Spotykamy się dosyć systematycznie.

Po studiach wróciłem do Wałbrzycha i jako kierownik działu sportu i rekreacji Kopalni „Victoria”, a później Dyrekcji Zjednoczenia Węglowego, prowadziłem obozy żeglarskie dla dzieci górników nad Jeziorem Ślawnym. Wielokrotnie zatrudniałem kolegów „ze stajni Bąkowskiego” jako instruktorów pływania. I w tej roli spisywali się znakomicie.

Jeszcze raz pragnę wyrazić wdzięczność Drogiemu Panu Janowi za tak mocne scementowanie naszej paczki, która nadal nieźle się trzyma. My, „stare (oj! już mocno podstarzałe) konie” z Jego „stajni” życzymy Mu dużo zdrowia i pogody ducha.

Kazimierz Niemierka – „Hrabia”

Wuefiacy książki piszą

Z dużą satysfakcją odnotowujemy, że wśród wuefiackiej braci są zdolni i chętni do pisania Koledzy potrafiący wydać ciekawe opracowania, dokumentujące pedagogiczny i organizacyjny dorobek licznej rzeszy cichych bohaterów żmudnej, codziennej pracy na niwie wychowania fizycznego, a szczególnie upowszechniania sportu – tak zwanego masowego, jak również i wyczynowego.

Przedstawiamy cztery przesłane nam ostatnio pozycje, z którymi chcemy zapoznać szersze grono czytelników i tym samym zachęcić innych do pójścia w ich ślady.



Zbigniew Lipiński
*„50 lat Międzyszkolnego
 Klubu Sportowego
 „Karkonosze”
 w Jeleniej Górze
 1955 – 2005”,
 wyd. UM Jelenia Góra 2005.*

Głównym autorem i redaktorem wydania jest założyciel Klubu Zbigniew Lipiński, (absolwent naszej Uczelni z 1955 roku), jego długoletni prezes, trener, wychowawca pokoleń zawodników, instruktorów i trenerów. W przygotowaniu tego dzieła dzielnie wspierali Go wieloletni współpracownicy: Joanna Badacz, Andrzej Bronikowski, Paweł Gasidło, Andrzej Koziński, Edward Maziarz, Tadeusz Mielko, Bogdan Skowroński, Zbigniew Stępień, Franciszek Szczyrbak. Wspólnie przygotowano wartościową pozycję, dokumentującą 50-letni dorobek wielce zasłużonego dla Karkonoskiego Regionu uczniowskiego klubu. Dzięki temu opracowaniu nie tylko zachowane zostaną dla potomnych fakty i dokonania ludzi, ale także mamy orientację jak wiele dokonali nasi absolwenci (również i inni), którzy najczęściej od podstaw „zrobili tak wiele z niczego”. Karty żadnego opracowania nie są w stanie oddać trudu i potu włożonego każdego dnia na boisku, sali gimnastycznej czy w terenie, nie zawsze przy pięknej pogodzie, przez tych, co całym sercem umiłowali sport i uprawiającą go młodzież.

Nawet nie przypuszczaliśmy jak wielu i jak wysokiej klasy zawodników wyrosło w MKS „Karkonosze” – olimpijczyków, mistrzów Polski, Europy, Świata czy Uniwersiad. Wychowankowie Klubu porobili również kariery jako nauczyciele akademicy – dr Beata Skowrońska-Kowalska i dr Rafał Wołk w AWF Wrocław, dr Jarosław Rosiński w AWF Kraków; trenerzy – Andrzej

Koźbiał – kadra zjazdowców Kanady, Urszula Baranowska – kadra młodzików Kanady, Kazimierz Grant-Wojciechowski – reprezentacja olimpijska Austrii w piłce ręcznej, Franciszek Szczyrbak i Henryk Przybyszewski – trenerzy polskich olimpijczyków w biathlonie, Adam Fedorowicz i Marek Karpiński - trenerzy ligowych zespołów, a także reprezentacji Polski w piłce ręcznej.

Trenerami byli między innymi: pionier narciarstwa karkonoskiego Stanisław Rażniewski (absolwent pierwszego rocznika – 1949 naszej Słonecznej Uczelni), Kazimierz Mazur - niegdyś czołowy dolnośląski zjazdowiec, a później dyrektor liceum sportowego w Karpaczu, Julian Gozdowski – twórca „Biegu Gwarków” i „Biegu Piastów”, który ostatnio stał się wręcz samodzielną instytucją i to na europejską miarę. Można tak dalej wymieniać długą listę trenerów narciarstwa i innych dyscyplin – saneczkarstwa z pionierem tej dyscypliny, trenerem olimpijczyków Antonim Okniańskim, biathlonu, lekkiej atletyki (z Andrzejem Stępiem – olimpijczykiem z Moskwy 1980) czy piłki ręcznej. Dla przykładu: wychowanka MKS „Karkonosze” Emilia Prudaczuk była niegdyś świetną biegaczką narciarską, lekkoatletką, a później już jako zawodniczka AZS-AWF Wrocław reprezentantką Polski w piłce ręcznej. Obecnie w Danii robi karierę jako wzięty lekarz i terapeuta.

W tym miejscu nieodparcie nasuwa się myśl: dlaczego ci nasi kochani absolwenci nie dają się namówić na spisanie czego dokonali, co przeżyli i na przesłanie tego do „Księgi wspomnień”. Wielka szkoda, że Koleżanka Prudaczuk poprzestała tylko na przyrzeczeniach, ale mamy nadzieję, że zdołamy Ją jeszcze namówić i zebrać kolejną porcję zwierzeń do drugiego tomu wspomnień (pierwszy jest już w druku i będzie gotowy na obchody 60-lecia).

Na zakończenie warto dodać, że omawianą książkę uzupełniają liczne zdjęcia zawodników i trenerów, a także uchwycone w kadrze obrazy z zawodów, obozów i oczywiście z podniosłych momentów wręczania zwycięzcom dyplomów medali i pucharów. Warte uwagi jest zdjęcie na s. 115 dwóch naszych absolwentów – niegdyś narciarza, a dzisiaj trenera Waldka Żółtanieckiego z przyjacielem – Jurkiem Pietkiewiczem. Jurek – narciarz, znakomity instruktor narciarstwa i himalaista, zginął tragicznie podczas wyprawy na jeden z trudniejszych himalajskich szczytów - Annapurnę. Inny wychowanek Klubu, też himalaista - Piotrek Snopczyński potrafi bezinteresownie wygłaszać bardzo interesujące prelekcje, okraszane przeżyciami i filmami dla młodzieży, nauczycieli i wszystkich tych, którzy Go oto poproszą. To kolejny absolwent, na którego czekamy, aby zechciał podzielić się swoimi bogatymi wspomnieniami z szerszym gronem naszych Koleżanek i Kolegów.

Postscriptum

Książkę Kolegi Lipińskiego zauważył i pochwalił redaktor Gazety Wyborczej – Jan Turnau „Jonasz”, pisząc: „Tu okazja bym pochwalił kolegę mego szkolnego Zbigniewa Lipińskiego, który jako nauczyciel, ba, wizytator wf, a także działacz społeczny trudził się pół wieku w Jeleniej Górze, a na koniec opisał ciałpasterstwo (w odróżnieniu od dusz-pasterstwa – podkr. R.J.) swoje w książce „50 lat MKS >Karkonosze< w Jeleniej Górze” świeżo wydanej przez moje rodzinne miasto” (Z Bogiem na czacie, czyli o pasterstwie, Jan Turnau; GW nr 6.5013, 7-8. 01.2006 r.)

Ryszard Jezierski



**Zbigniew Bukowski,
Tomasz Ziemia**
„Z historii brodnickiego
sportu”
wyd. UM Brodnica 2002

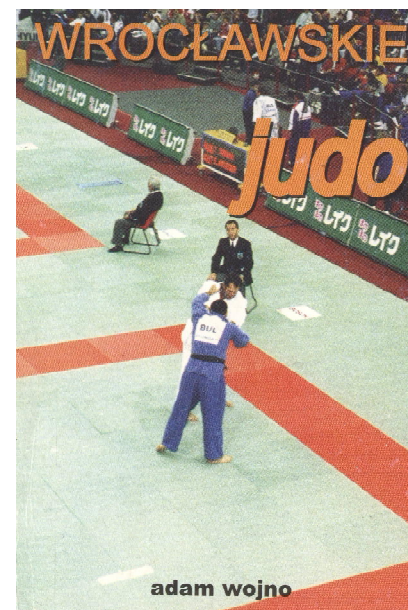
Nasz absolwent z 1969 roku **Zbigniew Bukowski**, wraz z przyjacielem **Tomaszem Zięmbą** zebrali i opracowali niezmiernie ciekawe materiały i źródła historyczne dotyczące rozwoju sportu na terenie m. Brodnicy od okresu rozbiorów po 2000 rok. Jak we wstępie sami piszą: „Celowo nie nadaliśmy tytułu > Historia brodnickiego sportu< , ponieważ zdajemy sobie sprawę, że brak nam przygotowania merytorycznego (nie jesteśmy historykami) , aby wyczerpująco opisać to zagadnienie. Poza tym życie sportowe naszego miasta było w niektórych latach tak intensywne, że wyczerpanie w pełni tego bogactwa musiałoby wiązać się z solidną profesjonalną kwerendą w archiwach i bibliotekach. Głównym więc celem, jaki sobie postawi-

liśmy, było utrwalić pamięć o niektórych wydarzeniach, a szczególnie o ludziach związanych na przestrzeni lat z brodnicką kulturą fizyczną, którzy bez reszty oddali sportowi swoje siły i zdrowie”.

Autorzy, dotrzymując słowa, zaprezentowali zdarzenia sportowe, daty i fakty, a przede wszystkim ludzi, którzy je tworzyli. Jak w wielu dzielnicach Polski, tak i w tym regionie ruch sportowy zapoczątkowany został (w 1912 r.) przez Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” i w dużej mierze dzięki wychowankom „Sokoła” i nauczycielom wf prężnie rozwijał się w okresie międzywojennym, a szczególnie dynamicznie w okresie powojennym.

W krótkim zarysie opisano rozwój; boks, lekkiej atletyki, piłki nożnej, siatkówki, koszykówki, piłki ręcznej, sportów motorowych, wioślarstwa, żeglarstwa i szachów. Po oddaniu do użytku w 1996 r. krytej pływalni rozwinęło się też pływanie, a sztandarową dyscypliną tego rejonu stał się triathlon, gdyż poczynając od 1989 r. rokrocznie w Górnicy rozgrywane są mistrzostwa Polski w tej trudnej konkurencji.

Z szerokiego grona prezentowanych na łamach tej książki działaczy, instruktorów, trenerów i nauczycieli wychowania fizycznego, nas szczególnie zainteresowała postać absolwenta wrocławskiej Uczelni „Dźonego” – Dominika Sucheńskiego. Dziękując autorom za zgodę na przedruk, jesteśmy niezmiernie рады, że możemy zaprezentować czytelnikom Biuletynu sylwetkę pierwszego olimpijczyka (1952 r – Helsinki) naszej Alma Mater.



Adam Wojno
„Wrocławskie judo”
1999

Korzystając z okazji podjęcia tematu: „Wuefiacy książki piszą” prezentujemy przygotowaną do druku przed kilkoma laty - w 1999 r. przez **Adama Wojno** (absolwenta z 1966 r.) niezmiernie ciekawą i wartościową pozycję opisującą historię wrocławskiego judo i ludzi którzy je tworzyli i rozwinęli do poziomu mistrzowskiego –olimpijskiego i światowego.

Kolega Wojno, nie będąc profesjonalistą, postarał się możliwie jak najrzetelniej zebrać materiał prezentujący prapoczątki z lat 40-tych i 50-tych oraz dalsze lata rozwoju judo w Gwardii, AZS-ie, Śląsku, MKS Juvenia i UKS Popowice. Scharakteryzował sylwetki zasłużonych trenerów: Stanisława Siewiora, Ewarysta Jaskólskiego, Adama Wojny, Jana Brody, Zbigniewa Zamęckiego, Marka Kucharskiego, Wiesława Błacha, Kazimierza Witkowskiego. Zaprezentował sylwetki sławnych mistrzów, choćby tylko wymienić olimpijczyków i mistrzów świata: Waldemar Zausz, Edward Alksin, Wiesław Błach, Katarzyna Juszcza, Rafał Kubacki, Zbigniew Bielawski, Andrzej Sondej, Krzysztof Kurczyn, Wojciech Reszko, Anita Kubica, Beata Maksymow.

W chronologicznym zapisie odnotowane zostały zdobyte dla Wrocławia tytuły indywidualnych i drużynowych mistrzów i wicemistrzów Polski seniorów i juniorów. Skrupulatnie spisano nazwiska prezesów i działaczy Okręgowego Związku Judo oraz tych, którzy godnie reprezentowali nasze miasto we władzach centralnych związku.

Godną odnotowania i mało znaną ciekawostką jest zamieszczony na s. 81 omawianej książki wiersz znanego wrocławskiego satyryka Andrzeja Waligórskiego „Judo marsz”, który był odegrany (do muzyki Henryka Kubiccy) przez zespół „Dreptaków” na jednej z imprez judo w Hali Ludowej.

Ryszard Jezierski

Judo marsz

Gdy ci życie nie dogadza,
Gdy cię gnębią różne troski
Gdy cię narzeczona zdradza
Z dzielnicowym Lewandowskim
Gdy zawiedzie cię przyjaciel
Albo Śląsk przewali mecz,
Nie załamuj ty się bracie,
Nie pal, nie pij, nie ćpaj lecz –

Refren:

Trenuj dżudo, trenuj dżudo,
Dżudo to jest istne чудо,
Nałóż gacie i kimono,
Trenuj z dziadkiem, trenuj z żoną
Wciągnij brzuszek, uklon złóż
Trenuj dżudo,
No i już.

Może uda się ta próba,
Może przyjdzie taka data,
Że tak jak Kubacki „Kuba”
I ty będziesz mistrzem świata?
Wielka sława czeka na cię,
Tylko się z tapczanu zwlecz,
Z nałogami zerwij bracie,

Waldek Zausz, pseudonim „Mysza”
Tak jak ty był kiedyś słaby,
Ledwie chodził, ciężko dyszał
I się z niego śmiały baby,
Lecz gdy zjawił się na macie,
Z przeciwnika zrobił ciecz.
Chcesz być taki? No to bracie
Nie pal, nie pij, nie ćpaj, lecz –

Refren:

Trenuj dżudo, trenuj dżudo...itd.

Pseudo „Misiek”, Wojtek Reszko
Z trudem ruszał się po ziemi,
Było z niego wątłe dziecko
Ze skłonnością do anemii,
Dziś nie mieści się we fiacie
I ma auto marki „Jelcz”,
Chcesz mieć Jelcza? No to bracie,
Nie pal, nie pij, nie ćpaj, lecz –

Refren:

Trenuj dżudo, trenuj dżudo...itd.

Andrzej Sondej, pseudo „Sączek”
 Zamyślony, gładki, skryty,
 Za pomocą swoich rączek
 Wykonuje chytne chwyt,
 Gdy więc kochasz się w Agacie,
 Która cię odpycha wstecz,
 Sączkiem, Sączkiem chwyć ją bracie
 Nie pal, nie pij, nie ćpaj, lecz –

Refren:

Trenuj dżudo, trenuj dżudo...itd

Wypędź wreszcie z siebie lenia
 Bo to już ostatnia pora
 Byś się zgłosił na ćwiczenia
 Do Hurkota lub Siewiora
 I w powiewniej białej szacie
 Błysnął jak japoński miecz,
 Tylko weź się w kupę bracie
 Nie pal, nie pij, nie ćpaj, lecz –

Refren:

Trenuj dżudo, trenuj dżudo...itd.

Jeszcze tylko krótki słownik
 Zanim zrobisz skok na matę:
 Trzymać znaczy OSAJKOMI,
 Puść oznacza wyraz MATE,
 HIKIWAKE – remis macie,
 IPON – nokaut, przykra rzecz...
 Gdy IPONU nie chcesz bracie,
 Nie pal, nie pij, nie ćpaj, lecz –

Refren:

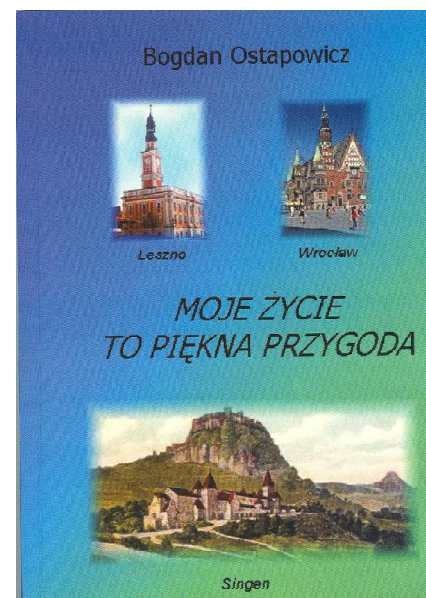
Trenuj dżudo, trenuj dżudo...itd

Ten kto się do Gwardii zgłosi,
 W znakomitej jest pozycji...
 Milicjantów tam tarmosi
 I ma chody na Milicji,
 I występy w Alma-Acie,
 Paryż, Londyn, Międzyrzecz...
 Na co jeszcze czekasz bracie?
 Nie pal, nie pij, nie ćpaj, lecz –

Refren:

Trenuj dżudo, trenuj dżudo...itd.

Andrzej Waligórski



Bogdan Ostapowicz
*„Moje życie to piękna
 przygoda”*
 Wydanie własne 2005

Znany naszym czytelnikom autor autobiograficznego cyklu ukazującego się w naszym Biuletynie w odcinkach pt. „Bujny życiorys wuefiaka”, tym razem swoje wspomnienia opracował i wydał w formie książkowej. A oto krótka recenzja tej interesującej pozycji z końcową żartobliwą fraszką będącą swoistym resume przeżyć autora.

Ludzie tzw. „trzeciego wieku” odczuwają niekiedy nieprzepartą potrzebę pisania pamiętników. Tej pokusie uległ także nasz autor – wuefiak i stomatolog – Bogdan O. Trzeba przyznać, że ma o czym pisać, bo swoim bogatym życiorysem mógłby obdzielić kilku rówieśników.

Zaczął się niewinnie, od zamieszczania na łamach Biuletynu Absolwenta AWF kolejnych odcinków wspomnień. Zdegustowany dokonywanymi przez redakcję skrótami i „wycinaniem” z nadsyłanych tekstów co pikantniejszych szczegółów, bujnego życia erotycznego, postanowił wydać swoje curriculum vitae własnym sumptem w formie książkowej. Przewidywany skromny nakład ma zamiar rozprowadzać wśród zaprzyjaźnionych osób, w tym absolwentów WSWF z rocznika 1959 z okazji 50-lecia immatrikulacji.

Po naradzie z redaktorem i uzgodnieniu warunków przedsięwzięcia, nasz bohater zabrał się ostro do dzieła. Na kanwie opublikowanego już materiału, napisał nowe rozdziały, pozostałe znacznie rozszerzył, wzbogacając o ciekawe szczegóły i nasycając erotyką.

Tak powstała książka będąca barwną mozaiką egzystencji hedonisty,

szczodrze czerpiącego z życia jego dary, ale także odbierającego cięgi. Siłą napędową wszystkich jego poczynañ było ryzyko i przemożna ciekawość świata, zdominowana przez takie pasje jak Eros, hazard i sport. Przeplatając się wzajemnie w różnych okresach bujnego żywota miały one niewątpliwie duży wpływ na jego losy. I tak ze zgubnej równi pochyłej hazardu na prostą, wyciągnęły go żona i sport. Tej ostatniej pasji był zawsze wierny. I co ciekawe – jak wino im jest starszy tym lepszy, co skutkuje do dzisiaj zdobywaniem laurów w licznych dyscyplinach sportowych, w swojej grupie wiekowej.

Lektura książki jest ciekawa, czyta się ją łatwo i przyjemnie. Z kilku rozdziałów na szczególne wyróżnienie zasługują: „Dzieciństwo i okres młodości” oraz „Good-bye USA”. W tym ostatnim, autor barwnie i sugestywnie opisuje pożegnalny wjazd pp. Ostapowiczów przez południowo-wschodnie stany Ameryki. Te niemalże epickie opisy przyrody najpiękniejszych zakątków kraju, przeplatane epizodami z historii i demograficznymi danymi oraz Polonikami, stwarzają wrażenie czytania bardzo ciekawego turystycznego folderu.

Prezentując czytelnikom te miejscami bardzo osobiste wynurzenia autora, mamy nadzieję że zostaną przyjęte z zaciekawieniem i życzliwością.

Fraszka na Bodzia gaszka

Zęby Szwabom rwał
I garściami kobietki
Namietnie w karty grał
Nie stroniąc od ruletki
Fortunę, którą zdobył
Kasyna zabrały
A chcąc się odegrać
Majątek stracił cały.
Spłukany doszczętnie i goły
Jak turecki święty
W USA rewanzu szukając
Do cna został orznięty
Z hazardu szponów
Naszego Bodzia
Tenis wyciągnął
I żonka Jadzia
Kariery nie robiąc
Pożegnał Amerykę
Gdzieś w Portugalii
Skasował brykę

Wracając w Singen'u mury
Doczekał się emerytury
Na laurach nie spoczywał
Z medykami w tenisa pogrywał

Po świecie wiele podróżował
W oldbojach miał wyniki
Wnuka się dochował
Pisał pamiętniki

Gdy w Barcelonie dopadł go pech
Kiedy do szczeru go okradziono
Klął szpetnie, choć to grzech
Bo pomocy mu nie udzielono.

W końcu Mu grabarz
Ostatnią da komendę
Do piachu marsz!
Zahn – Doktor – Ende.

*Redaktor wydania
Antoni Kaczyński*

Księga wspomnień po recenzji gotowa do druku

Zebrane przez redaktorów - Ryszarda Jezierskiego i Antoniego Kaczyńskiego teksty absolwentów naszej Alma Mater są już po recenzji i po ogłoszeniu przetargu na druk skierowane zostaną do „produkcji”. Księgę do recenzji skierował redaktor naczelny Wydawnictwa AWF prof. Tadeusz Bober, a tego trudu (ponad 600 stron druku) podjął się specjalista z Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Tadeusz Żabski. Profesor dokonał bardzo wnikliwej recenzji i przekazał nam 6 stronicowy tekst z wieloma bardzo cennymi, profesjonalnymi uwagami i wskazówkami, za które jesteśmy Mu niezmiernie wdzięczni. Księgę pisali i opracowywali amatorzy i warto było ten zbiór bardzo zróżnicowanych tekstów oddać w ręce profesjonalisty, aby uniknąć choćby najbardziej oczywistych błędów i niezręczności natury formalnej, stylistycznej czy językowej.

Pozwalamy sobie na zaprezentowanie fragmentów recenzji Pana Profesora, która wielu współautorów „Księgi” z pewnością będzie satysfakcjonować, a innym da orientację, co do materiałów, jakie przygotowali Koledzy po fachu.

„Nasza Słoneczna Uczelnia” ma dużą wartość dokumentarną. Obejmując lata 1945–2005 przynosi mnóstwo wiadomości do dziejów tej placówki, rysującej się nie tyle w ujęciu historiograficznym, ile w drobiazgach i szczegółach zapamiętanych po wielu latach przez absolwentów „staruszków”. Właśnie te drobiazgi są w zbiorze najważniejsze, tworzą historię żywą, taką, jaka została przez nich doświadczona. Charakterystyczne, że Wielka Historia jest tu zaledwie dotykana, podawana w rozproszeniu i jak gdyby mimowolnie, ponieważ nad całym zbiorem panuje duch radosnej młodości, który kazał szkole nadać miano „Słonecznej Uczelni”... W całym dziele wyraźnie widać, że owe młodzieżowe nastroje znamienne są szczególnie dla studentów wf-u. Podkreślano to wielokrotnie, przy każdej niemal okazji, w atmosferze szczęścia, że ukończyli właśnie AWF, a nie inną uczelnię.

...Jako studenci dwa razy do roku jeździli na obozy do Sierakowa, Olejnicy, Karpacza, Zieleńca, na spływy kajakowe itd. „To dopiero było życie” Dopiszmy jeszcze zdanie uogólniające, chyba słuszne: „Większość studentów uwielbia naszą Uczelnię właśnie dlatego, że są obozy. To one dostarczają tak wielu wrażeń i później przywołują miłe wspomnienia.”... Jeżeli tak to wszystko zbierzemy, zauważymy wyraźnie różnicę między atrakcyjnym życiem wuefiaków a szarą codziennością studentów innych kierunków, ślęczących nad dziesiątkami książek w Ossolineum.

...Nasza Słoneczna Uczelnia przynosi przede wszystkim indywidualne zwierzenia poszczególnych absolwentów. W historię AWF-u wpisane zostały biografie setek osób, a ich dalsze losy stają się świadectwem promieniowania zdobytej wiedzy.

... Tom wspomnień zapowiada się bardzo okazale zwłaszcza, gdy do tekstów będą dołączone zdjęcia. Uważam, że publikacja Naszej Słonecznej Uczelni zasługuje na hojne wsparcie finansowe odpowiednich władz.”

Prof. dr hab. Tadeusz Żabski
Uniwersytet Wrocławski

20 rocznica śmierci prof. Franciszka Wandokantego (1913-1985)



Dokładnie w rocznicę śmierci, tj. 13 grudnia, grono wychowanków Profesora i Jego Najbliższych złożyło na grobie wiązanek kwiatów oraz uczestniczyło w okolicznościowej mszy św. w kościele przy ul. Bujwida, odprawionej przez ks. Orzechowskiego – legendarnego kanonika wrocławskiego środowiska akademickiego.

Sylwetki

Lekkoatletyka moja miłość

Dominik Sucheński – „Dżony” urodził się 8 września 1926 r. w Brodnicy. Uczęszczał do szkoły powszechnej nr 1. Sportem zajął się pod wpływem starszego brata Jana, który pasjonował się lekkoatletyką i był mistrzem Pomorza w skoku w dal, a także grał w piłkę nożną w przedwojennej „Brodniczance”. Jak większość chłopców przygodę ze sportem zaczął od kopania szmacianki. Po latach Dominik wspomina: „Graliśmy w piłkę – szmaciankę, gdyż prawdziwa skórzana piłka była droga, kosztowała 18 zł. Pierwszą prawdziwą piłkę przyniósł kolega Gienek Zajączkowski, którego ojciec miał garbarnię. To było dla nas wielkie święto – prawdziwa piłka.”

Jego przygoda z lekką atletyką rozpoczęła się jeszcze przed wojną. W roku 1938 zwyciężył w szkolnych zawodach w biegu na 60 m oraz zajął 2-gie miejsce w skoku w dal.

Nieźle wyniki osiągał również w bardzo popularnej wówczas konkurencji – rzucie granatem.

W sierpniu 1939 r. wyjeżdża do Niepokalanowa na egzamin do Małego Seminarium Duchownego, gdzie członkiem komisji i gwardianem był O. Maksymilian Kolbe.

Wojna przerwała Dżonemu uprawianie sportu. W roku 1941 rodzina Sucheńskich została wysiedlona do Generalnej Guberni. Zamieszkali w Legionowie pod Warszawą. Tam dalej młody Dominik grał w piłkę nożną, najpierw w drużynie juniorów, potem seniorów. Okazało się, że z piłką nożną trzeba było skończyć, bo ryzyko było za duże, a zawodnikom groziło wywiezienie na roboty przymusowe do Niemiec. Wówczas dalej, po cichu trenował lekką atletykę i na nadwiślańskich piaskach w okolicach Ciechanowa na zaimprovizowanej skoczni skakał ponad 6 metrów. W tym czasie należał do tajnego harcerstwa i był żołnierzem Armii Krajowej. Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim.

Po zakończeniu działań wojennych rodzice wraz z synami wrócili do Brodnicy. Bracia Sucheńscy zaczęli grać w piłkę nożną w Harcerskim Klubie Sportowym. Drużyna

tych w biegu, na 100 m pokonał reprezentanta kraju Grzegorza Duneckiego, a w skoku w dal zajął 2 miejsce za innym kadrowiczem Zygmunt Buhlem. Jego idolem spor-



Reprezentacyjna sztafeta 4x100 metrów przed wyjazdem na olimpiadę w Helsinkach. Stoją od lewej: Emil Kiszka, Dominik Sucheński, Zygmunt Buhl, Zdobysław Stawczyk i Roman Budzynowski.

rozgrywała spotkania z reprezentacją stacjonujących w Brodnicy wojsk radzieckich oraz z reprezentacjami Jabłonowa, Rypina i Wąbrzeźna.

Podczas pierwszych zawodów lekkoatletycznych po wyzwoleniu – 1 maja 1945 r., Dominik Sucheński jako reprezentant brodnickiego gimnazjum wygrywa bieg na 100 m, skok w dal, pchnięcie kulą i rzut granatem. Na szersze wody wypływa w 1947 roku na zawodach szkół średnich w Toruniu, w których brali udział zawodnicy z kadry Polski. W zawo-

towym zawsze był Amerykanin Jesse Owens, czterokrotny złoty medalista olimpijski z Berlina.

W 1947 r., po ukończeniu brodnickiego gimnazjum Dominik Sucheński zdał egzamin wstępny do Studium Wychowania Fizycznego przy Uniwersytecie Wrocławskim. W czasie prób sprawnościowych był najlepszym ze wszystkich zdających w konkurencjach lekkoatletycznych i od razu został zapisany do AZS-u. Do dziś pan Dominik pamięta, że we Wrocławiu spotkał mistrzynię olimpijską Stanisławę Walasiewiczówną,

W czasie studiów reprezentował uczelnię na mistrzostwach Polski w 1948 r. w Gdańsku, na których zajął 3 miejsce w skoku w dal. W roku 1950 wyrównuje rekord kraju na 100 m z czasem 10,6 sekundy. Był to wówczas czwarty wynik w Europie. Te pierwsze sukcesy powodują, że 22-letni student SWF we Wrocławiu ma pewne miejsce w kadrze Polski. Musi jednak zrezygnować z gry w piłkę nożną w A-klasowej drużynie „Burzy” Wrocław, ponieważ otrzymuje stypendium kadrowe z PZLA, które wynosiło wtedy 450 zł – równoważność zarobków asystenta na uczelni.

Kończy studia w 1950 r. i podejmuje pracę w Wojewódzkim Ośrodku Szkolenia Sportowego we Wrocławiu, gdzie pełni funkcję kierownika wyszkolenia I a. W roku 1953 broni pracy magisterskiej i obejmuje stanowisko adiunkta w macierzystej uczelni z pensją 1300 zł. Równocze-

śnie kończy karierę zawodniczą, chociaż w klubowej sztafecie Gwardii Wrocław biega jeszcze do 1957 roku.

Osobną kartę w życiu Dominika Sucheńskiego stanowi udział w Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Helsinkach w 1952 roku. Na 100 m startował Emil Kiszka, a na 200 m Zdobysław Stawczyk. Ci dwaj zawodnicy uzupełnieni przez Zygmunta Buhla i Dominika Sucheńskiego stanowili reprezentacyjną sztafetę 4 x 100 m. Sztafeta w eliminacjach i w półfinale uzyskała czas 41,7, który dał Polakom 5. miejsce i niestety nie zapewnił awansu do finału. Pan Dominik do dziś wspomina pobyt w wiosce olimpijskiej Otaniemi jako jedno z wspanialszych przeżyć w swojej karierze zawodniczej. Największą sensacją olimpiady byli zawodnicy ZSRR, którzy pierwszy raz brali udział w Igrzyskach Olimpijskich, ale

byli zakwaterowani osobno i na własnym wikcie.

Po zakończeniu występów w kadrze, Dżony obok reprezentowania klubu jako zawodnik, pracuje z młodzieżą. W Gwardii Wrocław pełni już od 1948 r. najpierw obowiązki instruktora, później trenera, a w końcu trenera koordynatora. Uży-



Pierwsza zmiana sztafety. Dominik Sucheński przekazuje pałeczkę Zygmuntowi Buhlowi

nie uprawnienia trenerskie. Od 1957 do 1969 roku trenuje polską kadrę lekkoatletów niesłyszących, doprowadzając zespół narodowy do czołowych miejsc w świecie. Równolegle z tą pracą zdobywa uprawnienia sędziowskie klasy międzynarodowej, w której to dziedzinie zasłynął jako jeden z najlepszych starterów w kraju. W tej roli bierze udział w największych imprezach lekkoatletycznych – Mistrzostwach Polski, Memoriale Janusza Kusocińskiego oraz meczach międzypaństwowych Polski z USA, NRF, Anglią, ZSRR.

W mistrzostwach Europy w Sztokholmie w 1958 r. bierze udział jako obserwator. Na tych mistrzostwach Polacy odnieśli największy sukces w historii lekkiej atletyki zdobywając 8 złotych medali.

Od roku 1970 przenosi się wraz z żoną Barbarą i dwojgiem dzieci – córką Gabrielą i synem Grzegorzem do Brodnicy. W latach 1970 – 1985 pracuje jako nauczyciel wychowania fizycznego w miejscowym LO, w którym przez pewien okres pełni funkcję wicedyrektora. Był również wizytatorem-metodykiem wf w kuratorium bydgoskim, a potem toruńskim. W 1985 roku przechodzi na emeryturę. Do dziś bierze czynny udział w życiu sportowym Brodnicy, pełniąc między innymi funkcję honorowego startera na zawodach.

Dominik Sucheński nadal prowadzi sportowy styl życia. Codziennie biega, a w sezonie letnim pływa, najchętniej w jeziorze Sosno. Mówi o sobie: „Sportowi zawdzięczam zdrowie oraz pewne cechy swojego charakteru: dyscyplinę, koleżeńskość, punktualność, słowność. W swoim życiu miałem trzy największe przeżycia: udział w Powstaniu Warszawskim, półfinał olimpijski oraz spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II. Porażki? No cóż, zdarzały się, ale nie przejmowałem się nimi, ponieważ uprawianie sportu traktowałem jako przyjemność.”

W uznaniu zasług i osiągnięć zawodowych i społecznych otrzymał wiele wyróżnień, odznaczeń i medali.

Młodym, garnącym się do sportu, Dominik Sucheński chciałby powiedzieć, że oprócz talentu podstawą sukcesów jest uczciwa, solidna i systematyczna praca.

Postscriptum:

Dominik Sucheński wsparł finansowo wydaną sumptem Urzędu Miejskiego w Brodnicy książkę: „Z historii brodnickiego sportu”, z której przedrukowaliśmy powyższą prezentację Jego sylwetki.

Ku pamięci Janka Śliwki

Dzięki rodzinie Państwa Śliwków zrodziła się moja sportowa pasja

Okres oleśnicki

Po wojnie, wraz z rodzicami, zamieszkałem we wsi Wabienice koło Oleśnicy, gdzie moja mama objęła funkcję kierowniczkę szkoły podstawowej. Z uwagi na to, że nie za bardzo przykładałem się do nauki w 1949 r. zostałem przeniesiony do 5 klasy Szkoły Podstawowej i Liceum w Oleśnicy. Zamieszkałem na stacji u bliskich znajomych moich rodziców – państwa Śliwków. Byli to wspaniali ludzie. Pani Maria czuła, opiekuńcza, nad wyraz troskliwa, a przy tym wymagająca porządku, punktualności i nie znosząca kłamstwa. Pan Andrzej był mężczyzną słusznej postury, nie znoszącym sprzeciwu, surowym i bardzo wymagającym, a przy tym wszystkim gołębiego serca – taki, jak opisany przez Makuszyńskiego w „Bezgrzesznych latach” Jan Kasprowicz. „Kark byka, spojrzanie dziecka” Jeśli ktoś twierdzi, że nie można obcych ludzi pokochać tak jak swoich rodziców, to się myli.

Państwo Śliwkowie mieli troje dzieci. Stasia i Józek wyfrunęli już do Wrocławia, gdzie studiowali, pracowali i uprawiali różne sporty. Stasia siatkówkę, lekkoatletykę, tenis stołowy, a Józek siatkówkę i piłkę ręczną. Wszystko na poziomie I ligi i reprezentacji kraju.

Ja mieszkając i wychowując się w Oleśnicy w towarzystwie i na wzór



Od lewej: Zbyszek Gorczyński, Janek Śliwka, Jacek Dolecki, Zbyszek Winnicki, Marian Dąbrowski

Janka, najmłodszego z rodzeństwa, który był chyba o 5 lat starszy ode mnie i był w tym czasie w 10 klasie liceum. Atmosfera w domu Śliwków była na wskroś sportowa. Sport był tam zawsze bardzo ważny – w rozmowach, planach, wspomnieniach. Oczywiście poza nauką, która była najważniejsza.

Pokój, w którym mieszkaliśmy wraz z Jankiem był obwieszony dyplomami, medalami i zastawiony pucharami. Wszystkie te trofea były obiektem szczególnego mojego zainteresowania i podziwu, a także treścią moich marzeń.

Janek pasjonował się siatkówką. Już wtedy był najlepszym siatkarzem nie tylko w naszej szkole, ale również w klubie „Kolejarz” w Oleśnicy, którym zaczynał swoją karierę zawodniczą. Czasem grywał też, ale tylko przyjemnościowo, w piłkę nożną. W zawodach szkolnych z powodzeniem startował w lekkiej atletyce – w skoku wzwyż i w pchnięciu kulą. Biegać nie lubił. Pamiętam, że kilka lat później, kiedy ja trenowałem biegi średnie, wiele razy dziwił się, że chce mi się tak biegać.

Siatkówka zawładnęła Jankiem całkowicie. Prowadził systematycznie i bardzo skrupulatnie dzienniczek swoich treningów i meczów. Zapisywał w nim wszystkie swoje spostrzeżenia – kto był obecny, kto jak grał, kto kogo zmieniał na boisku itd. Myślę, że korzystał z tych doświadczeń kiedy już był trenerem „Gwardii”.

W latach 50-tych, sport był czysto amatorski i jak wielu pamięta, uprawiało się go dla przyjemności i własnej satysfakcji. W Oleśnicy, latem treningi siatkówki odbywały się na stadionie miejskim, który był oddalony od naszego domu o jakieś 30 – 40 minut drogi.. Trzeba było iść przez całe miasto, tam i z powrotem nieść piłki i siatkę, co ja wykonywałem z wielką radością i dumą. Za to mogłem uczestniczyć (przynajmniej duchowo) w każdym treningu. Chodziłem za darmo na mecze i byłem traktowany przez starszych zawodników jak członek drużyny.

Przypomniat mi się taki drobny epizod z naszego życia sportowego, charakteryzujący tamte czasy. Piłki były skórzane, bardzo ciężkie, z dętką i sznurowane. Kiedyś, wiosną 1950 roku, brat Janka – Józek przywiózł z Wrocławia zupełnie inną piłkę do siatkówki. Była gładka, pompowana przez wentyl, tak jak dzisiaj. Była to tak zwana „węgierka”. Ponieważ nie byłem dla Janka partnerem do siatkówki, więc poszliśmy na łąkę „trochę sobie pokopać.” Gdy zobaczył to wracający z miasta Józek, awantura była straszna. „Piłka do siatkówki, a jeszcze taka, to święta rzecz, nie wolno jej kopać” – krzyczał. Janek, jak zwykle w takich przypadkach, całą winę wziął na siebie.

Z treningów siatkówki wracaliśmy do domu przez park, gdzie było dzikie boisko do siatkówki, na którym grywali różni siatkarze, również starsi uczniowie

naszego liceum. Obok była rozlewnia oranżady. Janek rozgrywał z nimi mecze, sam przeciwko sześciu, o skrzynkę oranżady. Oczywiście po meczu oranżadę pili wszyscy, ale płacił przegrywający. Nigdy nie widziałem żeby płacił Janek. Często wypowiadano mu rewanż i wtedy już mógł wziąć mnie do pomocy jako drugiego gracza. Moja pomoc polegała na tym, że miałem podbijać piłkę byle jak, aby tylko do góry. Najczęściej radził sobie sam, gdyż mógł odbijać trzy razy, a bronił wręcz nieprawdopodobnie piłki. Po latach, patrząc na Jego zawodniczą grę w „Gwardii” wiedziałem dlaczego go był „królem pola”.

Któregoś dnia, po meczu o oranżadę, wygadaliśmy się przed ojcem Janka, że gramy o takie zakłady. Ojciec zapytał ostro Janka skąd bierze pieniądze na oranżadę, jak przegrywa?

Janek odpowiedział, że nie potrzebuje pieniędzy, bo zawsze wygrywa. A ojciec na to: „to nie jest uczciwe zakładać się o coś, jeżeli z góry wiesz, że wygrasz.” Pamiętam tę naukę po dziś dzień i nikt nie musiał mnie do niej przekonywać. Taka była rodzina Śliwków.

Okres wrocławski

W roku 1951 Janek zdał maturę i wyjechał do Wrocławia, gdzie zaczął grać w siatkówkę w „Gwardii” i podjął studia na WSWF-ie, a także pracował. Zaczął się czas wyjazdów rodzinnych na mecze do Wrocławia. Państwo Śliwkowie wraz ze mną jechali w sobotę na mecz, na noc wracali do Oleśnicy i w niedzielę przyjeżdżali na rewanż. Ja na ogół nocowałem we Wrocławiu w mieszkaniu przy ul. Komuny Paryskiej, gdzie mieszkali: Janek, Józek i Stasia, a także inni siatkarze, którzy nie mieli gdzie się zatrzymać. Odbywały się tam analizy gry po odbytym meczu i narady wojenne przed rewanżem. Poznałem tam wielu czołowych polskich siatkarzy, a między innymi wspaniałego i doskonałego sportowca Zenka Kurpiosa, późniejszego męża Stasi.

Jeden z wyjazdów, na jakiś bardzo ważny mecz, odbył się w bardzo dziwnych, wręcz dramatycznych okolicznościach. Pani Maria Śliwkowa leżała w szpitalu w Oleśnicy. Nie było mowy o wcześniejszym wypisaniu jej do domu. W sobotę po południu pojechaliśmy pod szpital taksówką, pan Śliwka w wiadomy tylko sobie sposób „wykradł” małżonkę i pojechaliśmy na mecz do Wrocławia. Po meczu odstawił żonę do szpitala, a w niedzielę powtórzył wszystko jeszcze raz i w ten sposób pani Maria była na obu ważnych meczach – chyba z „Legią”. Na pewno starsi kibice, a szczególnie siatkarze pamiętają pana Śliwkę, który z narożnika balkonu hali „Gwardii” głośniej niż pozostała część widowni dopingował naszych siatkarzy, a także często krytykował decyzje sędziów, wykrzykując odważnie co myśli o ich sędziowaniu. Był bardzo barwną postacią każdego meczu.

Jak stałem się sportowcem.

Mając 15 lat zacząłem uprawiać lekkoatletykę, biegi średnie. To, co w mojej mało usportowionej rodzinie było jakimś dziwadłem, to w rodzinie Śliwków było normalką. Tam przecież każdy zajmował się jakimś sportem i nie wyobrażano sobie, żeby było inaczej. Od momentu podjęcia treningów zaczęto traktować mnie o wiele poważniej, jak sportowego partnera. Wszyscy śledzili moją młodzieńczą karierę sportową, służyli radami i przeżywali moje sukcesy i porażki. Mobilizowało to mnie do osiągania coraz lepszych wyników, przede wszystkim aby nie zawieść tak zacnej sportowej rodziny, której poczułem się pełnowartościowym członkiem. Tak zrodziła się moja życiowa sportowa pasja.

Po zdaniu matury i następnie ukończeniu w 1961 roku studiów na WSWF-ie znów dobry los połączył mnie z Jankiem, gdyż rozpocząłem pracę w tej samej co On instytucji. Janek był tam wysoko cenionym ekspertem od daktyloskopii. Pracowaliśmy w różnych wydziałach a spotykaliśmy się na wszelkiego rodzaju rozgrywkach i imprezach sportowych. Graliśmy przeciwko sobie w piłkę nożną, siatkówkę, ping-ponga, tenisa. Na ogół drużyna Janka była górą. Cieszył się ogromną charyzmą wśród kolegów z drużyny i potrafił wykrzesać z przeciwników nadzwyczajną sprawność sportową. Był w tych sprawach perfekcjonistą, wszystko robił z niebywałym nerwem, dawał z siebie wszystko i tego wymagał tego od innych. Był wyrozumiały dla „czystych amatorów”, ale nie znosił bylejakości w sporcie zawodniczym.

Lubiłem te spotkania na boisku z Jankiem, bo mimo, że graliśmy w przeciwnych drużynach, to zawsze miał cenne rady nie tylko dla swoich, ale i dla przeciwników. Robił to dla dobra samej gry, „dla sportu”. Miłość do sportu wykazywał przez całe życie, do samego końca. Ta cecha nie wygasła w nim nigdy, mimo upływu lat i odejścia od wyczynu.

Lubiłem także odwiedzać Janka w Jego miejscu pracy, gdzie zawsze miał czas mnie wysłuchać, ze zrozumieniem odnieść się do moich problemów zawodowych i osobistych, a także rodzinnych. Wypowiadał swoje zdanie, ale niczego nie narzucał. Miał jedną cechę, której nie znajduję u siebie. Wyznawał jakąś chyba staro indiańską zasadę, że mężczyzna nie powinien zbyt często okazywać swoich uczuć i afektów. Wraził to kiedyś nawet na piśmie wpisując mi się do pamiętnika: „W ustach jest otwór duszy, najdroższe balsamy szybko wietrzeją, gdy je często otwieramy.”

Od prawie 20 lat mieszkam w Warszawie i przez to nasz kontakt się urwał. Widzieliśmy się ostatni raz w Oleśnicy w 1992 roku na zjeździe absolwentów naszego liceum. Janek jak zwykle był pełen werwy i humoru, swoim zwyczajem wiele dowcipkował. Nie przypuszczałem, że widzimy się ostatni raz. Kilka lat temu ze smutkiem dowiedziałem się, że Janek nie żyje. Był to dla mnie ogromny cios i zaskoczenie i do dzisiaj trudno mi się

z tą myślą oswoić.

Znamienne, że o śmierci Janka dowiedziałem się od mojego przyjaciela Romka Ronczewskiego, brata naszej absolwentki Iwony Ronczewskiej, byłej rekordzistki Polski w skoku wzwyż.

Teraz tylko przypadkowo spotykam się z siostrą Janka – Stasią, gdy odwiedzamy grobowiec Zenka Kurpiosa na Grabiszynie, gdzie leży kwiat wrocławskiej, a także i polskiej siatkówki:

Józek Śliwka, Marysia – jego żona (olimpijka), Zenek Kurpios – mąż Stasi i Janek Śliwka.

Te moje wspomnienia dedykuję Stasi Śliwkównie-Kurpiosowej, jedynej żyjącej z przezacnego grona sportowego Rodu Śliwków

Jacek Dolecki – absolwent 1961 r.

Zbigniew Suprun belfrem roku 2005



Miło jest nam donieść, że zaszczytny tytuł BELFRA ROKU 2005 wśród nauczycieli wychowania fizycznego Wrocławia zdobył mgr ZBIGNIEW SUPRUN – nauczyciel Szkoły Podstawowej Nr 74.

Ten przyznany po raz drugi tytuł trafił do jednego z najbardziej zasłużonych nauczycieli naszego miasta, który swoją miłość do sportu (sam kiedyś z powodzeniem uprawiał lekką atle-

tykę) potrafił zaszczerpić swoim uczniom. Szkoła, w której uczy może od wielu lat poszczycić się wieloma sukcesami między innymi w lekkiej atletyce, piłce ręcznej i koszykówce. Nie to jednak wydaje się być przewodnim mottem działania BELFRA ROKU 2005. Najważniejsze jest pokazanie wartości, jakie niesie ze sobą „sportowanie się” – moda na zdrowy styl życia, obecna za sprawą działań laureata wśród uczniów Szkoły Podstawowej Nr 74, szczególnie, że jest to szkoła umiejscowiona w specyficznym, określonym jako „trudny”, rejonie Wrocławia.

Zarząd Wrocławskiego Szkolnego Związku Sportowego wytypował wcześniej na podstawie głosów ze szkół czwórkę nominowanych w bieżącym roku do tytułu BELFRA ROKU. Byli to oprócz laureata także:

- 1. Danuta Pasikowska** - nauczyciel i dyrektor ds. sportu Zespołu Szkół Nr 4
- 2. Zbigniew Stankiewicz** - nauczyciel i dyrektor ds. sportu Szkoły Podstawowej Nr 45

3. Wojciech Burzyński - nauczyciel Liceum Ogólnokształcącego Nr XI

Nasz wybór poddaliśmy pod osąd internautów. Miło jest nam donieść, że Wasze zdanie pokryło się z opinią Zarządu WSZS i tytuł trafił do rąk laureata, który był także naszym faworytem.

Oprócz figurki Oscara Zbigniew Suprun otrzymał nagrodę w postaci bonu na zakup sprzętu sportowego w kwocie 2.000 zł ufundowany przez Sklep Sportowy DECATHLON Bielany Wrocławskie i Wrocławski Szkolny Związek Sportowy.

Także pozostali nominowani otrzymali upominki pocieszenia w postaci ubiorów sportowych ufundowane przez **VEGA Europe** i Wrocławski Szkolny Związek Sportowy.

Jeszcze raz gratulujemy laureatom i dziękujemy sponsorom nagród!

Z życia Uczelni

Opłatkowe spotkanie J.M.Rektora z seniorami

W dniu 19 grudnia ubiegłego roku w gościnnym lokalu Klubu Muzyki i Literatury u p. Placka J.M. Rektor spotkał się z seniorami, emerytowanymi pracownikami naukowymi i administracji, aby przełamać się tradycyjnym opłatkiem przed nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia.



J.M. Rektor Tadeusz Koszycz witając serdecznie jak się wyraził dostojne grono swoich wychowawców i zarazem przyjaciół zaprosił wszystkich do wspólnego jak zwykle u p. Placka oryginalnie udekorowanego stołu. Następnie podzielił się z zebranymi opłatkiem, życząc wszystkim zdrowia i podtrzymywania więzi ze swoją Alma Mater. Wznosząc zaś toast lamką szampana złożył życzenia wszelkiej pomyślności w nadchodzącym tak ważnym dla Uczelni roku 2006, w którym ma nadzieję wspólnie w tym gronie obchodzić jubileusz Jej 60-lecia. Następnie wręczył wszyst-

kim świąteczne upominki w postaci ozdobnej świecy i gustownego okolicznościowego kalendarzyka na 2006 rok.

Na część artystyczną spotkania niezawodny Henio Nawara przygotował niespodziankę. Mianowicie mini recital fortepianowy w wykonaniu 10 letniego artysty Sławomira Krysa, brata aktualnego studenta naszej uczelni. Ten młodociany wirtuoz zachwycił słuchaczy jakże dojrzałym wykonaniem utworów klasyków Mozarta, Beethovena i naszego rodzimego Fryderyka Chopina. Nie był to debiut utalentowanego wykonawcy. Będąc laureatem szeregu nagród i wyróżnień ma już on na swym koncie szereg recitali i koncertów. Jego wystąpienie seniorzy nagrodzili rzęśistymi oklaskami wyrażając opinię, że ten tak utalentowany młodzik odpowiednio prowadzony ma przed sobą wielką artystyczną przyszłość.

W dalszej części spotkania seniorzy rozmawiali już nieformalnie w małych grupkach wspominając wspólnie przeżyte na uczelni lata. Często woli się przygotowanymi napojami i pysznym ciastem. Mimo podeszłego wieku niektórych nikt nie kwękał i nie uskarżał się na dolegliwości zdrowotne. Ci, krzepcy jeszcze wuefiacy promieniowali swadą i humorem. Wszyscy bez wyjątku cieszyli się ze spotkania za niecały rok na uroczystościach jubileuszowych Uczelni i szampańską zabawę na balu w Hali Ludowej.

Wreszcie spotkanie to przebiegające w miłej rodzinnej atmosferze dobiegło końca, a uczestnicy opuszczając urokliwy lokal p. Placka wyrażali wdzięczność władzom Uczelni za pamięć o nich – weteranach. Byli też zgodni, co do potrzeby kontynuacji takich spotkań.

Naszym czytelnikom dla przypomnienia im ich nauczycieli i wychowawców zamieszczamy imienną listę obecnych na spotkaniu osób.

Nauczyciele akademicy:

Bober Tadeusz
Buła Bolesław
Chodemicka Jadwiga
Fecica Daniel
Grabowska Maria
Jaskólski Ewaryst
Jezierski Ryszard
Jonkisz Julian
Kaczyński Antoni
Krizar Tadeusz
Maksymowicz Stanisław
Naglak Zbigniew
Nawara Henryk
Rainczak Adam

Schwarzer Zbigniew
Słupik Bolesław
Stańkowska Karmena
Władyka Kazimierz

Pracownicy administracji:

Kita Weronika
Kowalski Henryk
Rudnicka Janina
Muźnierowska Grażyna
Pytlewska Zofia

Antoni Kaczyński

Who is who - czyli o patronatach "naszych ulic" Ignacy Jan Paderewski (1860-1941)



Pianista, kompozytor, polityk i działacz społeczny. Studia pianistyczne odbył w Wiedniu, gdzie zadebiutował w 1887 roku. Koncertując na obu półkuliach zyskał sławę jednego z najwybitniejszych pianistów świata. Jako kompozytor ma na swym koncie: operę *Manru*, symfonię *h-mol*, koncert fortepianowy *a-moll*, *Fantazję Polską* na fortepian i orkiestrę oraz szereg innych utworów fortepianowych. W 1913 roku osiadł w USA. Był doktorem h.c. wielu uniwersytetów polskich i zagranicznych. Działalność społeczną i polityczną rozpoczął przed I wojną światową podejmując akcję na rzecz niepodległości Polski głównie w USA. Po wybuchu wojny w 1914 roku był współzałożycielem wraz z H. Sienkiewiczem Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny w Veron i Polish Relief Found w Londynie. W latach 1917-18 został przedstawicielem paryskiego Komitetu Narodowego Polski w USA. W roku 1918 wrócił do kraju a w 1919 został premierem rządu i ministrem spraw zagranicznych. Jako przedstawiciel Polski podpisał w tymże roku wersalski traktat pokoju a w latach 1920-21 był delegatem kraju przy Lidze Narodów. Zrażony do polityki wrócił do USA gdzie kontynuował swą działalność artystyczną odnosząc wiele sukcesów. Po wybuchu II wojny światowej stanął na czele emigracyjnej Rady Narodowej w Paryżu. Zmarł w 1941 roku w USA. W roku 1992 sprowadzono jego prochy do katedry św. Jana w Warszawie.

60 lat Nauki Polskiej we Wrocławiu

(przedruk z *Życie Akademickiego*)



15 listopada 2005 roku środowisko naukowe Wrocławia obchodziło jubileusz 60-lecia Nauki Polskiej we Wrocławiu. Z tej okazji przedstawiciele uczelni wrocławskich spotkali się rano przed pomnikiem Martyrologii Profesorów Lwowskich, aby złożyć tam tradycyjnie – jak co roku – wieńce i wiązanek kwiatów. Naszą

Uczelnię reprezentował JM Rektor prof. Tadeusz Koszczyc wraz z prof. J. Migasiewiczem – prorektorem ds. studenckich i sportu akademickiego, z prof. Z. Ignasiak – dziekanem Wydziału Wychowania Fizycznego oraz z Bartłomiejem Kubiczem – przewodniczącym Samorządu Studenckiego.

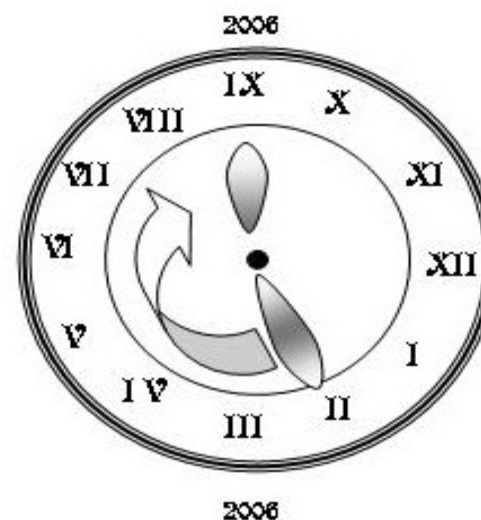
VIII Międzynarodowa Konferencja Naukowa

(przedruk z *Życie Akademickiego*)

W ramach uroczystości jubileuszowych 60-lecia naszej uczelni w dniach 19–20 października br. pracownicy Katedry Zespołowych Gier Sportowych AWF we Wrocławiu, przy współudziale Międzynarodowego Towarzystwa Naukowego Gier Sportowych z siedzibą we Wrocławiu, zorganizowali VIII Międzynarodową Konferencję Naukową "Dydaktyka sportu w świetle współczesnych potrzeb edukacyjnych". W skład Komitetu Naukowego Konferencji weszło 17 profesorów z Polski, Ukrainy, Litwy i Rosji. Uroczystego otwarcia Konferencji dokonał JM Rektor AWF – prof. Tadeusz Koszczyc, znany również jako specjalista z zakresu wielopodmiotowych gier z piłką.

Z życia Organizacji

Odliczamy czas do Zjazdu



Do boju AWF!

Dalej chłopcy i dziewczęta
Niechaj każdy z was pamięta,
Że z Witelona płynie ta pieśń,
Wrocław ją śpiewa i zna jej treść,
Stworzył ją student z WSWF (zuch z AWF),
Który już dzisiaj śle w świat ten zew...

Na zjazd! - Na bal! 60-lecie!
Hala Ludowa - 16 września 2006 roku.

Przybądź na:

spotkania koleżeńskie
uroczystą akademię
zwiedzanie Uczelni (a jest co zwiedzać)

bal w Hali Ludowej na 1000 par!;

Więc wstań, do góry głowę wznies

I śpiewaj naszą pieśń...

Do boju AWF!

wysyłaj zgłoszenie!!!
Mobilizuj koleżanki i kolegów!!!

Komitet Organizacyjny

Nr* L L L L

Wpłata* L L L
L L L

Zjazd Absolwentów 16.09.2006r.

Karta zgłoszenia

Rok ukończenia studiów

Nazwisko

Imię

Nazwisko panieńskie

ADRES:

.....

ulica, nr domu i mieszkania

.....

kod, miasto

Kraj gdy zamieszkujesz za granicą

E-mail:

Kierunek studiów

Tryb studiów: dzienny ☐ zaoczny ☐

PRZYJAZDY I NOCLEGI:

Proszę o przysłanie informacji o zakwaterowaniu: tak ☐ nie ☐

Koszt uczestnictwa (pamiątki, akademie, bal) **200zł**

Koszt uczestnictwa małżeństw wuefiackich (oboje po AWF) **300zł**

Oplaty należy wpłacać na konto: **52 1020 5242 0000 2902 0114 0680**

Stowarzyszenie Absolwentów

ul. Paderewskiego 35

51-612 Wrocław

Z dopiskiem: 60-lecie

UWAGA!

Wpłaty należy dokonać do 30 czerwca 2006r.

Wpłata po powyższym terminie

wynosić będzie o **50zł** więcej.

Info:

www.awf.wroc.pl/absolwenci

Ryszard Jezierski tel. kom. 605062211

Krzysztof Słonina tel. kom. 602430014

e-mail: sloniu@awf.wroc.pl

* wypełnia organizator

Program obchodów 60-lecia Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu

15 września 2006 r. (piątek)

10.00-13.00

- Konferencje
- Spotkania w Katedrach i Zakładach

13.00-15.00

- Zwiedzanie Uczelni
- Centrum Historii, Katedry, Zakłady, wystawy

16.00-

- Spotkania koleżeńskie organizowane przez Roczniki

16 września 2006 r. (sobota)

7.30

- Msza św. w Katedrze Wrocławskiej poświęcona pamięci zmarłych wykładowców i absolwentów

9.00-10.00

- Wyjazd na cmentarze na groby profesorów i kolegów
- Spotkania Roczników
- Zwiedzanie Uczelni

9.45

- Uroczyste otwarcie nowej Hali Sportowej przy ul. Paderewskiego

11.00-

- **Uroczyste posiedzenie Senatu (Akademia) w Hali Ludowej**

14.00-

- Spotkanie władz Uczelni z pionierami, pierwszymi wykładowcami i seniorami

14.30-16.00

- Zwiedzanie Uczelni
- Centrum Historii, Katedry, Zakłady, wystawy

16.00-

- Okolicznościowe imprezy rekreacyjno-sportowe

20.00

- **Bal w Hali Ludowej**
(20.30 - Uroczysty polonez)

Honorowy sponsoring

Stowarzyszenie Absolwentów AWF apeluje o wspieranie finansowe działalności statutowej

klasy sponsorów	osoby prywatne	instytucje
brązowa	100 PLN	300 PLN
srebrna	300 PLN	600 PLN
złota	500 PLN	1000 PLN

Sponsorzy otrzymają honorowy dyplom a ich nazwiska (za zgodą) będą umieszczone w Biuletynie. Wpłacać można na konto: **52 1020 5242 0000 2902 0114 0680** lub w sekretariacie podczas dyżurów lub w klubie na specjalnych spotkaniach wtorkowych.

Honorowa lista sponsorów od roku 2005

Rok 2005 dyplom złoty

indywidualne

Leszek Dębicki
Jerzy Baranowski

Rok 2005 dyplom srebrny

indywidualne

Halina, Grzegorz Adamscy
Albin Czech
Zdzisław Drobniewski
Jerzy Baranowski

Rok 2005 dyplom brązowy

indywidualne

Józef Kopec
Jerzy Baranowski
Edward Chyla
Roman Proszowski
Cenia Wieszcza

Rok 2006 dyplom srebrny

indywidualne

Adam Stocki

Rok 2006 dyplom brązowy

indywidualne

Józef Kopec

Sprostowanie

Kolega **Eugeniusz Rolewski** ma prawo do tytułu **złotego** sponsora za rok 2004. Przez pomyłkę, w Biuletynach nr, nr 31 – 34, figurował w spisie srebrnych sponsorów, za co gorąco przepraszamy i jeszcze raz dziękujemy za ten wspaniały gest na rzecz Stowarzyszenia.

Prezes-Ryszard Jezierski

Spotkanie opłatkowe

W kalendarzu spotkań Stowarzyszenia grudniowe spotkanie opłatkowe ma już swoje stałe miejsce. Czas zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia niósł ze sobą otaczający miasto i ludzi odświętny nastrój. I w tym nastroju, 14 grudnia 2005 roku, gościnny Dwór Polski przygotował stałe miejsce spotkań – swoją kawiarnię na pierwszym piętrze. Wchodzących gości



„Baca” J. Dziąsko z „VIP-ami”

witali w niezwykle efektywnych strojach górale z Zieleńca – sam Pan Prezes Adam Dziąsko, Maria Zaczyk i Wojtek Wąciór. Prezes Ryszard Jezierski wszystkim przybyłym, a spotkaliśmy się znowu w gronie 120 osób, przekazał świąteczne życzenia, po których nastąpiło dzielenie się

opłatkiem i składanie sobie wzajem życzeń szczęścia, radości, spokoju, wytrwałości i wszelkiej pomyślności oraz by nadchodzący 2006 rok stał się czasem spełnienia pragnień i realizacji wszelkich planów.

Po skonsumowaniu śledzików, barszczyku i pierogów z kapustą niewielka grupa wokalna – z Kysią Stachowską, Elą Jezierską i Ryśkiem Jezierskim przy



akompaniamentem niezawodnego organisty kol. Romana Wajlera starała się rozśpiewać kolędami opłatkowych gości, ale niewielu z nich do kolędujących dołączyło. Wiadomo – nie chcieli stracić głosów przed styczniowym wieczorem kolęd, na który zaprosił zebranych Władek Kopyś od lat niezawodny sponsor noworocznej lampki szampana.

Halina Jezierska



Styczniowy wieczór kolęd

Tegoroczne śpiewanie kolęd zainicjowane ubiegłego roku przez Władka Kopysia zgodnie z życzeniami ogółu stało się już mocną pozycją w rocznym kalendarzu naszych spotkań.

Tym razem wieczór kolęd w dniu 18 stycznia br odbył się nieco w innej konwencji, zdominowany przez występ parafialnego chóru prowadzonego



Chór Romka Wajlera

przez Romka Wajlera przy kościele na Muchoborze, gdzie jest on tam organistą. Zaproszony na spotkanie kilkunastoposobowy mieszany zespół wokalny z miejsca podbił serca słuchaczy.

Liczne zgromadzone grono koleżanek i kolegów oraz miłych gości wylewnie powitał prezes Stowarzyszenia Rysio Jezierski a wznosząc noworoczny toast szampanem ufun-

dowanym tradycyjnie z tej okazji przez Władka – inicjatora imprezy, życzył zebranym wszelkiej pomyślności w tym tak ważnym dla nas wuefiaków roku 2006 - roku 60-lecia powstania Uczelni.

Usytuowany przy białym fortepianie chór, posłuszny batucie dyrygenta rozpoczął swój recital kolęd. Szumny dotąd gwar rozmów zgromadzonego na sali koleżeństwa zwolna wyciszał się. Urzeczeni słuchacze chłonili znane od dzieciństwa swojskie melodie i słowa kolęd oraz rzadziej słyszanych a nawet nieznanych pastorałek.

Niekiedy maestro odkładał batutę i sam zasiadał za klawiaturą, wtedy zebrani w lot podchwytywali melodie i sala rozbrzmiewała zwiokrotnionym akordem głosów. Śpiewano kolędy: „Wśród nocnej ciszy”, „Bóg się rodzi, Lulajże Jezuniu” i wiele innych. Wokalny, świąteczny nastrój udzielił się wszystkim. Śpiewano ochoczo, gorąco zachęceni osobistym przykładem prezesa, który spontanicznie wcielał się wtedy w rolę dyrygenta.

W nielicznych przerwach od „kolędowania” krzepiono się kawą, herbatą i jak to zwykle bywa żywiołowo gaworzono. W którymś momencie prezes uciszając rozgadane towarzystwo zapowiedział niespodziankę przygoto-



Maestro przy fortepianie



waną na tę okoliczność przez ambitnego maestro i jego zespół, a mianowicie wykonanie monumentalnego utworu chóralnego z opery Nabucco Giuseppe Verdiego. Wyciszeni zebrani w skupieniu wysłuchali epokowego dzieła włoskiego mistrza w znakomitej interpretacji chóru Romana, nagradzając dyrygenta i wykonawców burzliwymi oklaskami. Zebrani wdzięczni

Romkowi za wzbogacenie naszego wieczoru taką perełką wyrazili niepełną nadzieję na następne spotkania z jego chórem tak ambitnie kultywującym dzieła światowych klasyków.

Prezes dziękując jego kierownikowi i członkom chóru pogratulował znakomitego występu wierząc, że spotkanie to na pewno zostanie w pamięci uczestników naszego tradycyjnie już w styczniu organizowanego Wieczoru Kolęd.

Antoni Kaczyński

Apel

Czy zapłaciłeś już składkę członkowską za 2006 rok?

Droga Koleżanko i Kolego – być może, że w ferworze karnawałowych szaleństw umknął Ci fakt, że wraz z Nowym Rokiem wypada Ci zacieśnić swoją więź ze Stowarzyszeniem Absolwentów poprzez wpłacenie składki rocznej. Uprzejmie przypominając Ci o tym radzimy nie zwlekać i wysupłać może z niezbyt zasobnej kiesy ale przecież skromną kwotę 20zł. Wypełnij przekaz pocztowy i prześlij na nasze konto (str. 2) albo zapłać osobiście w lokalu Stowarzyszenia przy ul. Paderewskiego 35 (Stadion Olimpijski) w dniach dyżurów – każdy wtorek w godzinach 12-14.

Rok bieżący z uwagi na Jubileusz 60-lecia jest dla nas rokiem zwiększonych wydatków. M.in. planujemy druk specjalnego wydania Biuletynu Absolwenta, który otrzymasz na Zjeździe w zestawie upominkowym.

To wszystko kosztuje, a nie dopuście chyba do tego, abyśmy wpadli w zadłużenia lub z racji niewypłacalności ogłosili upadłość. Egzystujemy przecież tylko dzięki Waszym składkom i hojności sponsorów. Mamy nadzieję, że spotkamy się ze zrozumieniem. Nie zawiedźcie!

Zarząd Stowarzyszenia

Wspomnień czar

Od Redakcji

Otrzymaliśmy od Staszka Paszkowskiego obszerny materiał jego wspomnień, które w dużym skrócie publikujemy na naszych łamach w dwóch odcinkach. Całość w tym okresie powojenny w Szczecinie autor wzorem swego kolegi z rocznika B. Ostapowicza przygotowuje do druku w formie książkowej

Opowieść Kresowiaka

Wojna w oczach dziecka

Działo się to przed drugą wojną światową, w Rzęśnie Polskiej, obecnie północno-zachodnie krańce wielkiego Lwowa. Tu urodziłem się jako drugi syn. Tam zostałem ochrzczony, śpiewałem też w chórze kościelnym. Pamięcią sięgam do lata 1939 roku.

W każdą niedzielę mama gotowała rosół, ojciec wracał z kościoła i kładł się na poduchach w poprzek łóżka, czytając „Rycerzyka Niepokalanej”.

W pogodne przedpołudnie, w niedzielę 1 września 1939 roku zaskoczyły nas naloty bombowców niemieckich. Wybuch bomby. Wspaniałe, fascynujące widowisko. Oślepiający błysk. Patrzyliśmy, jak wylatują w górę belki, meble i inne przedmioty. Lament, jakieś „Jezus Maria” i padaliśmy na ziemię, bo po sekundach przychodził podmuch i niesamowity huk. Nie rozumieliśmy jako dzieci ogromu tragedii, jakich przyszło doznawać naszemu pokoleniu. Lwów został zbombardowany, rozpoczęła się Druga Wojna Światowa.

Okupacja sewiecka

We wrześniu do Lwowa wkroczyli „Moskale” - żołnierze Armii Czerwonej rozpoznawani po charakterystycznych czapkach ze szpicem. Jakiś oddział rozlokował się w stodole dziadka.

Mieszkaliśmy wtedy w kurnej chacie. Przez środek przebiegała sień, po jej lewej stronie była nasza izba, po prawej mieszkała babcia z trzema córkami, siostrami mojego ojca. Najstarsza, Mania była już zamężna, mieszkała nieopodal. „Artystyczny” bałagan panował w jej mieszkaniu, stos książek, byłem tam częstym gościem.

Szybko nauczyłem się czytać, nikt mi nie pomagał, a że mój chorujący brat pozostał drugi rok w pierwszej klasie, rozpoczęliśmy wspólnie edukację szkolną w drugiej klasie. Na „egzaminie” napisałem zdanie: „Rzeka płynie szeroko” i odpowiadałem coś z tabliczki mnożenia. Pierwsze świadectwo ukończenia klasy otrzymałem po zaliczeniu czwartej klasy. W programie, oprócz rachunków, przyrody, geografii, śpiewu i rysunków były trzy języki: polski, ukraiński i rosyjski. Otrzymałem wszystkie oceny „celują-

cy”(z ukraińskiego „widminno”, w tym języku było też wypisane świadectwo). Należy tu wspomnieć, o warunkach, w jakich odbywały się lekcje. Nauka odbywała się od jesieni, do pierwszych siarczystych mrozów. Wtedy zamykano szkołę bo nie było ogrzewania. Na wiosnę gdy ociepliło się, wracaliśmy do szkoły. Co udało się włożyć do naszych w różnym stopniu pojętnych głów, to w nich pozostawało. Od września zaczynała się edukacja w następnej klasie.



Po prawej stronie w maleńkiej izdebce mieszkał brat mojego ojca Władysław. Był on szewcem, miał dużą lampę naftową, tzw. jedenastkę, przebywało tam zawsze kilku sąsiadów, grali w szachy. Wkrótce ogrywałem ich wszystkich, ku niekłamanemu zachwytowi stryja.

Dziś z perspektywy czasu widzę, nie bez zrozumiałej nostalgii, że były to lata pełne emocji, oczekiwań i poznawania świata. Dobro i zło chodziły pod rękę niosąc ze sobą niepewność i zagrożenie życia.

Baliśmy się podobnie jak dorośli, ale nasza dziecięca witalność, chęć przygody i gotowość do ryzykownych zabaw pomagały przezwyciężać strach. Nie opodał od na-

szych domów w kierunku północnym znajduje się Hołosko. Tam w lesku ukryte były niemieckie składy amunicji. Rosjanie zbombardowali je. Przez kilka dni palił się las, wybuchała amunicja. W dzień dym i błysk, w nocy łuna, huk przez całą dobę, istne piekło. Po jakimś czasie, gdy się uspokoiło, ruszyli tam ludzie w nadziei znalezienia jakichś przydatnych rzeczy. Młodzież i my, maluchy patrzyliśmy gdzie tu jakiś karabin, szabla, pistolet - przedmioty naszych marzeń. To był dopiero raj na ziemi! Starsi, uzbrojeni po zęby w karabiny, ładownice z setkami nabojów i maski przeciwgazowe, szablami uderzali w skrzynki z zapalnikami. Niejeden kończył zabawę z urwaną stopą czy dłonią.

Zabawki nieosiągalne wtedy w handlu, wykonywaliśmy sami. Hulajnoga z dwóch desek i płaskowników, gwóźdź jako przetyczka. Napęd to łożyska kulkowe z czołgów. Co za jazda! Niosły nas te rumaki, że hej! Zimą narty też z desek, na których były wiązania z wygiętych płaskowników na noski butów i jakieś troki. Mieliśmy też karabiny, szable, pistolety i prawdziwą amunicję. Urządzaliśmy strzelanie i wysadzanie drzew po podkopaniu i wrzuceniu na rozpalone ognisko granatów. Uciekaliśmy wtedy kilkadziesiąt metrów i kładąc się pośpiesznie za jakimś wzgórkim, czekaliśmy na wielkie bum!

Wkroczenie wojsk sowieckich do Lwowa nie wiązałyśmy, jako dzieci z dzisiejszym rozumieniem zła, jakie los wyrządził naszej Ojczyźnie. Docierały do nas, a raczej do rodziców wiadomości o okrucieństwach Niemców na okupowanych ziemiach Polski. Sowietyzacja, jak to dzisiaj rozumiem, ujawniała się hasłami w rodzaju „wszystko nasze, lud jest wolny, zrzucił jarzmo”. Jakże, do dziś nie wiem. Zakładano „czerwone kąciki”, świetlice, grano tam w szachy i warcaby, przyjeżdżało kino objazdowe. Pamiętam scenę, jak czołg najeżdżał na widownię, a ja ze strachu wskoczyłem pod krzesło. Ludzie z mieszanymi uczuciami przyjmowali to sowieckie mydlenie oczu. Mało kto wiedział o tragediach rozgrywających się obok nas, o wywózkach inteligencji lwowskiej na Sybir.

Okupacja niemiecka

Przyszła rok 1941, mroźna zima i latem ofensywa hitlerowska na ZSRR. Lwów zajęli Niemcy, rozpoczęła się tragedia Żydów. Niemcy dokonywali masowych mordów, a także skrwawionymi rękami nacjonalistów ukraińskich dokonywali okrutnych rzezi Polaków, Ukraińcom obiecując „Samostijnju Ukrainu”.

Była bieda, głód wyganiał nas z bratem do pobliskiego Zielowa, skąd pochodziła moja mama. Tam żywili nas bardzo życzliwi dziadkowie, wspalniali ludzie. Musieliśmy wraz z bratem uczyć się pacierza po ukraińsku, złapani po drodze w lesie przy Rzęśnie Ruskiej, musieliśmy klękać i modlić się („klikaj i mółysia”), aby nas puścili wolno

Po srożej zimie przyszedł pamiętny przednówek 1942 roku. Wraz z nim głód i przerażenie. Jedliśmy gotowaną lebiodę, do tego jakiś ziemniak, czy odrobina kaszy. I tak ze dwa razy dziennie. Do dziś pamiętam tę słodkawomdłą, nie osoloną „ciamajdę”, jak na nią w naszej lwowskiej gwarze mówiono. Mama, wraz z innymi zrozpaczonymi kobietami udała się pociągami do bogatszych wsi gdzieś w okolicy Rawy Ruskiej, czy nawet dalej w kierunku Zamościa. Po dwóch tygodniach ponieważ i bezprzykładnych poświęceń wróciły. Na naszej stacji kolejowej, Rzęsna Polska wysiadły, otoczyli je gestapowcy z psami, kazali wszystko, co przywiozły te zapracowane i użebране kawałki chleba, trochę mąki, kaszy czy kawałek słoniny wyłożyć przed sobą na peron i odmaszerować. Mama rzuciła się na ziemię, obejmując rozpaczliwie to, co zgromadziła nam, głodnym dzieciom. Niemiec już zarepetował karabin, ale ktoś odciągnął mamę do tyłu, ratując jej życie. Przywlokła się do domu zmęczona i rozbita psychicznie. Takie życie rodziło tysiące prawdziwych, bezimiennych bohaterów. Na pewno była nią moja mama i te wszystkie cudowne matki – żywicielki. Nie trzeba dokonywać heroicznych czynów aby być bohaterem.

Gehenna wojny trwała. Jakaś nadzieję dawały nam zasłyszane przez radio z kryształkiem wieści o ofensywie Armii Czerwonej. Zachowywanie

się Niemców i szeptane rozmowy były pośrednim źródłem informacji.

Początek roku 1944 przywitał nas nasilającym się hukiem wystrzałów artyleryjskich i coraz liczniejszymi nalotami samolotów sowieckich. A to jakiś bombowiec ułżył swemu tonażowi, a to serie karabinów maszynowych z nurkujących myśliwców. Dziś oceniam to jako działania psychologiczne. Zrzucane były także ulotki, za których czytanie groziła surowa kara z rozstrzelaniem łącznie. Jednak to nie osłabiało nadziei i entuzjazmu. Odwaga wzrastała, patrzyliśmy na dorosłych z podziwem. Nawet chyłkiem przemykający, załamani z różańcem w ręku nagle odzyskiwali głos, demonstrując swoją siłę i determinację.

W końcu rozpoczął się odwrót Niemców. Żądali bezwzględного posłuszeństwa. Natychmiast dostawali do jedzenia, co tylko było w domu. Pośpieszne maskowano przed samolotami armaty i czołgi. Wujek Władek migiem naciął potężną ilość gałęzi, wszyscy mężczyźni, pod wycelowanymi w nich karabinami błyskawicznie przykryli działo i samochód, ustawione przed domem w cieniu wiekowej gruszy.

Żołnierz niemiecki stał przy ścianie domu. Mierzył ze swego mauzera do myśliwców radzieckich ostrzeliwujących uciekających żołnierzy, ich transportery, działa, itp. W pewnym momencie sąsiad, osiłek, zakradł się od tyłu i upewniwszy się, że nikt nie widzi zadał mu straszliwy cios kłonicą w kark. Do dziś widzę tę straszną scenę.

Znowu Sowiet i repatriacja

Niemcy uciekali w coraz większym popłochu, nie były to zwarte kolumny, każdy ratował się, jak mógł. Wielu z nich porzuciło broń, przemykali chyżo do Lasów Janowskich. Wypatrywaliśmy z utęsknieniem wyzwolenie Armii Czerwonej. W ogólnym zgiełku i huku armatnim usłyszeliśmy warkot silników, wzmagający się z każdą minutą. Cała wieś, bo Rzęsna Polska nie należała wówczas do miasta Lwowa – wyległa na drogę do Brzuchowic. Na niej, od strony Lwowa pojawiły się czołgi, oblepione żołnierzami. Były to wyrostki z dużą, czerwoną gwiazdą na czapkach a u innych na piersiach. Szaleliśmy z radości. Kolumna musiała się zatrzymać. Nasze mamy całowały te umorusane, ziejące bimbrem dzieciaki. Jeden z nich, przytulony i karmiony przez moją mamę, zapytał: „Babuszka, daleko do Berlina”? Oczywiście rozpalone, ścisnął karabin. Była w nich jakaś narkotyzująca siła, nadzieja i wiara w słuszość posłannictwa.

To udzielało się wszystkim, kochaliśmy tych żołnierzy, jak braci. Trwało to długo, nawet wymuszana migracja na Ziemie Odzyskane nie spowodowała wygaśnięcia sympatii, byliśmy im wdzięczni za wyzwolenie. Wielka feta w Moskwie z okazji 60-tej rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej ujawniła, jak niską cenę ma krew przelewana w braterskiej walce naszych żołnierzy, Rosjan i Polaków z hitlerowskim okupantem.

Ojciec mój, wcielony do Ludowego Wojska Polskiego, przemierzył jako artylerzysta szlak bojowy, walcząc o przełamanie Wału Pomorskiego. Po powrocie do domu rozpoczęliśmy życie w nowej, powojennej rzeczywistości.

Rychło dowiedzieliśmy się, że mamy pakować manatki i udać się kolejnym transportem w wagonach towarowych na Ziemie Odzyskane. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania, wyzbywanie się niepotrzebnych rzeczy, gromadzenie do długiej podróży sprzętu codziennego użytku, odzieży, butów.

Nasza rodzina rozpierzchnęła się. Każdy transport wywoził rodziny w nieznane. Po przyjeździe na Ziemie Odzyskane i odszukaniu się znowu byliśmy razem. Wujek Władek z żoną Olgą i synem Zbigniewem wyjechali pierwszym transportem, osiedlili się w Stąbłowicach pod Wrocławiem, powiększając wielką rodzinę Lwowiaków w tym mieście. Drugim miastem docelowym moich rodaków był Bytom. Kolejnym transportem z Rzęsy Polskiej wyjechała babcia Katarzyna z córkami Marią, Anielą i Józefą. Do dziś mieszkają w Słubicach. We Lwowie pozostała zamężna z Rosjaninem Rozalia. My, ojciec Franciszek, mama Maria, starszy o dwa lata brat Edward i ja, wyjechaliśmy ostatnim transportem, osiedliliśmy się w Wielgowie, obecnie dzielnica Szczecina.

Tu osiedliły się też dwa transporty z podlwowskiej Zubrzy.

Przejazd na Ziemie Odzyskane, to ciąg bardzo uciążliwych zdarzeń dla dorosłych. Nam, dzieciakom żadnym przygód każda chwila niosła emocje, będąc prawdziwą szkołą życia. Na stacji kolejowej Brzuchowice, przez którą przejeżdżał nasz transport, przechadzaliśmy się z bratem obok wagonów ustawionych na bocznicy. Nagle z lasu wyskoczył jakiś drab, huknął Edzia w głowę i zdarł z niego płaszcz uszyty przez mamę z jakichś koców. Napastnik znikł w lesie, brat się rozryczał, a ja zatkałem mu usta ręką, wiedząc, że jak się tato dowie, to pas będzie w robocie. Nasze płaszcze były identyczne, wołani przez rodziców pojawialiśmy się kolejno, zakładając szybko na siebie ten sam płaszcz. Tak było do końca podróży.

Harcowaliśmy podczas kilkutygodniowej wyprawy w nieznane jak szaleńcy. Trasa przejazdu była wielokrotnie zmieniana. Była to dla wszystkich dzieciaków życiowa przygoda. Mój trochę gamoniowaty braciszek spadł z dachu wagonu, po którym odbywały się gonitwy i skoki. Gdzieś dalej ktoś się zagapił, a że pociąg ruszał jak żółw, wszyscy dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia, naszej nowej Ojczyzny. Powszechne było przekonanie, że to tylko chwilowa migracja, ani chybi, szybko wrócimy do naszego Lwowa. To towarzyszyło nam jeszcze długo po osiedleniu się.

Wracając myślą wstecz, przypominam sobie jakże nostalgiczne pożegnanie Lwowa. Ciocia Mania, moja chrzestna matka udostępniła mi

swoje książki co było wówczas nie lada luksusem. Rozczytywałem się w nich namiętnie. Były tam także tomiki poezji. Sądzę, że to Adam Asnyk sprawił, iż o świcie, w pogodny poranek wybrałem się na pagórek skąd widziałem ukochane miasto rozświetlane wschodzącym słońcem. Do dziś mam przed oczyma dziesiątki wieżyc kościelnych wylaniających się z czerni nocy, jaśniejących od purpury, do złota, a potem rysujących się już realnymi kształtami. Napisałem wtedy mój pierwszy w życiu wierszyk, którego początek brzmiał: „Kocham was moje rodzinne strony, kocham cię Lwowie, za tobą stęskniony już teraz płaczę, widzę przyszłość czarną...” Dalej nie pamiętam.

I tak dotarłem swoją opowieścią do późnej wiosny roku 1946. Osiedleni na Ziemiach Odzyskanych rozpoczęliśmy nowe życie. Towarzyszył nam niesłychany entuzjazm i wzajemna, niespotykana już nigdy potem życzliwość ludzka. Czyżby ta życzliwość, spontaniczna chęć przebywania z sobą i gotowość natychmiastowego pomagania sobie były jedynym, pozytywnym aspektem wyniszczającej wojny? C.d.n.

Stanisław Paszkowski

Zwierzania Absolwenta

Ani się obejrzałem, kiedy 50 lat temu rozpoczynałem przygodę ze „Słoneczną Uczelnią” i właśnie ta jubileuszowa rocznica rozpoczęcia studiów na WSWF we Wrocławiu spowodowała kolejne spotkanie naszego rocznika. Zbiegło się to z uroczystością odnowienia immatrykulacji mojego rocznika 1955-1959, podczas obchodów Święta Akademii Wychowania Fizycznego.

Jubileusz ten skłonił mnie do podzielenia się tym co działo się ze mną po skończeniu studiów, kiedy rozpocząłem pracę w Technikum Mechanicznym w Świebodzinie (obecnie woj. lubuskie) jako nauczyciel w.f. Byłem pełen zapału i miałem nadzieję, że wiadomości i umiejętności zdobyte podczas studiów przekażę z niezłym skutkiem moim uczniom. Warunki pracy jakie zastałem w tej szkole niestety mogły zniechęcić każdego. Nie załamłem się jednak i wspólnie z uczniami przystąpiłem do stworzenia chociażby prowizorycznych warunków do pracy. W tym celu należało uprzątnąć z gruzów teren przyległy do szkoły. Po uporządkowaniu, powstały w tym miejscu boiska do piłki koszykowej i siatkowej, uniwersalna skocznia do skoku wzwyż i skoku w dal. Na świeżym powietrzu zamontowałem również kilka drabinek i drążek, co pozwoliło w okresie wiosennym i jesiennym na rozwijanie tężyzny fizycznej wśród uczniów mojej szkoły.

Najgorzej było w zimie. Z braku sali gimnastycznej prowadziłem zajęcia

w terenie w formie marszobiegów i grę w piłkę nożną a w dni, w których nie sprzyjała pogoda uczyłem przepisów z różnych dyscyplin sportowych. Dzięki temu wielu uczniów uzyskało stopnie sędziowskie i z powodzeniem sędziowało różne spotkania sportowe, najczęściej zawody lekkoatletyczne.

Po zajęciach lekcyjnych prowadziłem zajęcia z młodzieżą uzdolnioną ruchowo w ramach SKS i MKS odnosząc szereg cennych sukcesów w zawodach na szczeblu wojewódzkim i centralnym. Kilku uczniów sięgnęło nawet po tytuły indywidualnych mistrzów Polski i mistrzów Szkolnego Związku Sportowego w lekkiej atletyce w kategorii juniorów.

Ponadto z tytułu posiadania stopnia kaprała podchorążego, dyrektor szkoły powierzył mi prowadzenie zajęć z przysposobienia wojskowego (później przysposobienia obronnego). W tej roli doszedłem aż do stanowiska wizytatora p.o. w Kuratorium Oświaty w Zielonej Górze. Karierę wuefiaka ukończyłem na stanowisku dyrektora Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego skąd w roku 1990 odszedłem w stan spoczynku.

Po przejściu na emeryturę rozpocząłem spokojne życie staruszka - tak sobie myślałem. Tymczasem mało ruchu, a za dużo telewizji, przyczyniło się, do tego, że coraz częściej zacząłem odwiedzać gabinety lekarskie. Na szczęście dla mnie dość szybko zorientowałem się, że nie tędy droga i wówczas na nowo odezwała się we mnie dusza wuefiaka i tak zacząłem żyć inaczej. Coraz częściej ubierałem się w dres i zamiast odwiedzin w gabinetach lekarskich odwiedzałem stadion sportowy. Zaczynając od krótkich biegów na bieżni i biegów po ścieżkach i duktach w pobliskich lasach, przeszedłem na trasy biegów maratońskich. Do tej pory zaliczyłem 20 pełnych maratonów, po drodze kilka półmaratonów i nieco krótszych dystansów, biegając niemal w całej Europie m.in. w Londynie, Berlinie, Sztokholmie, Wiedniu, Pradze i kilku innych miastach, a ostatnio (02.10.2005r.) w Budapeszcie.

Podczas wspomnianego na wstępie spotkania, jak to przy takich okazjach bywa odżyły wspomnienia z lat studenckich. Moje sprowadziły się do pewnego „niechlubnego” sekretu ukrywanego od lat, dotyczącego zaliczenia z gimnastyki, który dopiero teraz zdradziłem w rozmowie z dr Antonim Kaczyńskim. Nigdy nie zaliczałem się do „czołówki gimnastyków” naszego rocznika. O ile na poszczególnych przyrządach jako tako sobie radziłem i zaliczałem na państwową ocenę, to skok kuczny wzdłuż skrzyni stanowił dla mnie nie lada problem, którego w żaden sposób nie mogłem przełamać. Przyczyną tego było pewne wydarzenie w liceum ogólnokształcącym, podczas lekcji w.f. Wykonując skok przez skrzynię odbiłem się z odskoczni, która w pewnym momencie złamała się a ja całym impetem uderzyłem w skrzynię twarzą. Spowodowało to tak głęboki uraz, że każdy następny skok wywoływał u mnie paniczny strach. Tak też było podczas zaliczenia skoku

przez skrzynię. Na uczelni skoki oceniał dr Kaczyński, który wiedział o mojej słabości. Kiedy przyszła moja kolej na oddanie skoku, Tolek odszedł od przyrządu. Zastąpił go nie znający mnie świeżo upieczony asystent (nazwiska nie pamiętam), i wówczas doszło do tzw. „na murzyna”. Zamiast mnie skok oddał Władek Kopyś, wcześniej poinstruowany, że ma to być skok na mizerną trójkę (Władek był profesjonalistą). Dzięki takiemu niechlubnemu zresztą fortelowi zaliczyłem gimnastykę. Po latach – skruszony wyznałem to „Kacze” na wspólnej kolacji, który mnie wielkodusznie rozgrzeszył.

Był to mój pierwszy kontakt z kolegami od czasu ukończenia studiów. Spotkanie to uzmysłowiło mi jak wiele straciłem nie uczestnicząc dotąd w nich, czego dzisiaj bardzo żałuję. Zauważyłem też, że koledzy spotykający się do tej pory, są zżyci ze sobą, a mnie niektórzy po prostu nie rozpoznawali. Tak się bowiem składało, że kiedy oni zaliczali kolejne zjazdy, podczas których wspominali lata studiów, ja w tym czasie przemierzałem trasy biegów maratońskich będąc zresztą myślami z nimi.

W trakcie spotkania z przykrością dowiedziałem się, że kilkunastu kolegów z naszego rocznika nie ma już wśród nas i patrząc na nas z góry, warto więc spotykać się bo czas jest nieubłagany.

Kończąc chcę powiedzieć, że jestem dumny i szczerzę się, że ukończyłem „Słoneczną Uczelnię” i zapewniam, że nigdy nie przyniosłem wstydu ani ujemy naszej Uczelni i cieszę się, że miałem tak wspaniałych profesorów i wychowawców oraz przemile koleżanki i kolegów.

Zygmunt Bodnar

Sport

(Przedruki z Życia Akademickiego)

Małgorzata Górnicka brązową medalistką ME w judo

Na Mistrzostwach Europy w Moskwie, rozegranych w dniach 2-4 grudnia, zawodniczka AZS AWF, studentka V roku Wydziału Wychowania Fizycznego – Małgorzata Górnicka wywalczyła brązowy medal.



13 medali na Mistrzostwach Europy

13 medali zdobytych przez polskich sportowców w podnoszeniu ciężarów niepełnosprawnych to najlepszy wynik w historii występów na mistrzostwach Europy. Podopieczni trenera Jerzego Mysłakowskiego – starszego wykładowcy w Katedrze Kultury Fizycznej Osób Niepełnosprawnych Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu w portugalskim Quarteira, gdzie w dniach 6–12 listopada br. odbywały się Mistrzostwa Europy w Podnoszeniu Ciężarów Osób Niepełnosprawnych, wywalczyli sześć złotych, cztery srebrne i trzy brązowe medale w power lifting. Reprezentacja Polski liczyła 16 osób.



*Trener Jerzy Mysłakowski
z zawodnikami*

(aki)

Prof. dr hab. Ewaryst Jaskólski wyróżniony przez Kolegium DAN Idokan Polska Piąty dan



Profesor powiedział nam. „Z przyjemnością odebrałem swoją nagrodę, ponieważ wiele uczyniłem dla dobra tej dyscypliny, dla dobra młodych Polaków, wychowując wiele nauczycieli, a wielu moich studentów wiedzie prym w kulturze fizycznej, ale też i w ekonomii, którymi to sprawami zajmuje się połowa moich byłych judoków. Może swoje sukcesy zawdzięczają filozofii wschodu, która mówi o ciągłym samodoskonaleniu, rozwijaniu się, parciu do przodu – o edukacji człowieczeństwa związanego z doskonałością ciała i rozumu”.

Fraszki

Z cyklu „Poczynania nowej „władzy””.

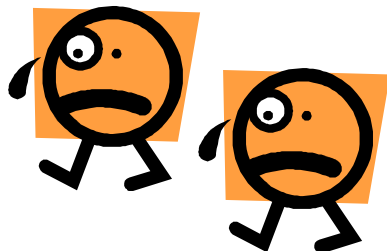
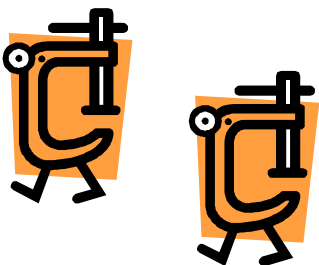
Becikowe

W naszym domu od dawna
Są stosunki zdrowe:
Kto pierwszy wstanie,
Daje becikowe –

Śniadanko do betów
Kochanej połowie.
O, jakże spóźnieni
Ci nasi posłowie!

Ciężar władzy

W dojściu do władzy czarnym
kapelusom
Przeszkodziły, niestety,
Moherowe berety.
Rządzący zawsze swoim ego
ryzykują.
Obdarzmy i tych zaufaniem,
Niech pro publico bono
Szczęśliwie Rydzykują.



O koalicji łabędzi śpiew

Na złość mamie utnę sobie rękę,
Niech Donald brat wie, kto tu
rządzi.
Podchwycicie, rodacy Kaczorów
piosenkę,
A gdzie jest dobro kraju historia
osądzi.

Nowy dylemat „władzy”

Co zrobić z Polską?
Czy ją „zleperować”,
Czy tę dziurawą łódź
Czym prędzej storpedować?

Eureka!

Wykrzyknął pan minister.
- Wiktoria jest niedaleko,
Haków mam pełny tornister.
Drżj, zachłanne EUREKO! (mini-
ster skarbu Miłosz, 24.11.2005)

Stanisław Paszkowski

Korupcja?

Z korupcją jak z Viagrą,
Każdy mówi, że słyszał
Ale nie mówi, że brał.

Posel Gadzinowski